Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 40 (1880) ● 2–8 października 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 8821106aca

WOJNA DOMOWA

Warszawski Sąd Okręgowy wydał list żelazny dla Marcina Romanowskiego, który teraz będzie mógł wrócić do Polski z bóg-wie-skąd i odpowiadać z wolnej stopy. Sędzia Mielcarek poczynił niepozbawione słuszności zauważenie, że dotychczasowe metody polowania na Romanowskiego nie przyniosły efektu i dodał, że może teraz wreszcie uda się go postawić przed sądem. Prokuratura zaskakująco nie jest zachwycona taką współpracą ze strony sędziego. Prokurator Piotr Woźniak ogłosił, że Romanowskiemu nie ufa, toteż „uważa, że konsekwentne kontynuowanie tych instrumentów, które zostały do tej pory wdrożone – między innymi właśnie poszukiwanie listem gończym na terenie kraju, poszukiwanie europejskim nakazem aresztowania na terenie Unii Europejskiej i wszelkiego rodzaju inne instrumenty współpracy międzynarodowej – doprowadzą do tego, że skutecznie podejrzany zostanie zatrzymany i poddany sądowi". W pełni rozumiemy frustrację prokuratora Woźniaka i to wcale nieprawda, że Einstein powiedział, że definicją szaleństwa jest powtarzanie tej samej czynności z nadzieją na inny efekt, albowiem ta sentencja pochodzi z materiałów motywacyjnych Anonimowych Alkoholików. A kto by tam pijaków słuchał.

Dezaprobata prokuratora Woźniaka płynie z samej góry. Minister Żurek znalazł czas w swoim ekstremalnie napiętym grafiku, żeby pogadać przez telefon z jedną z telewizji informacyjnych i wyrazić oburzenie faktem, że sędzia, który to orzekł, jest neosędzią, który „otrzymał nominację w wyniku procedury przed neokaeresem" i do tego jeszcze podpisał „tzw. listę poparcia do neokaeresu za czasów ministra Ziobry". I prokuratura powinna „przetestować taką osobę stosownym wnioskiem, czy ona w tym okresie kryzysu praworządności czerpała od państwa autorytarnego takie benefity, że mogło to rzutować na jej bezstronność, na jej niezawisłość".

Jak zgadujemy, także oburzenie ministra Żurka płynęło z góry, albowiem dzień wcześniej Donald Tusk wyrecytował na Iksie „Lokomotywę" Tuwima, dodając, że rozliczenia, niczym ta lokomotywa, nabierają impetu: „314 spraw w toku, w 152 sprawach przedstawiono zarzuty 678 podejrzanym, łącznie 1598 zarzutów i zabezpieczono majątek o wartości ponad 484 milionów złotych". I zakończył krotochwilnie: „Mówiłem wam, że będzie drugie danie i deser, nie tylko żurek". Urban – którego czwartą rocznicę śmierci obchodzimy w tę sobotę – darzył PiS żarliwą, namiętną nienawiścią, a mimo tego krytykował pomysł rozliczeń, powołując się na przykład powojennych Niemiec: „Posthitlerowcy z rodzinami stanowili tak liczną grupę wyborców, że politycy, którzy by ich odsuwali od życia publicznego, nie mogliby w wyborach liczyć na większość głosów. Nie czyniąc sprawiedliwości dziejowej, Adenauer tym niezbędnym zaniechaniem fundował demokrację wyborczą i okazało się, że miał rację"… Myślimy sobie, że polowanie na pisowców, jakkolwiek satysfakcjonujące, może okazać się niewystarczające w oczach wyborców obecnej koalicji i niewybaczalne w oczach pozostałych. Przekonamy się za rok.

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz przypuściła tak kuriozalny atak na Leszka Millera, że nie oprzemy się pokusie zacytowania co smakowitszych fragmentów. Otóż „ten pożal się Boże były postkomuszy premier działa jak putinowski agent wpływu w Polsce", gdyż „we wszystkim, co pisze i mówi, kropka w kropkę powiela przekaz Kremla", czego przejawem jest „wyśmiewanie incydentów dywersyjnych w Polsce" oraz „powielanie tekstów: najważniejszy jest pokój" i wobec tego panią minister szalenie oburza, że Miller jest „zapraszany do mediów, na konferencje i fora", a „tymczasem powinien być traktowany jak trędowaty" i w ogóle to „najwyższy czas zadać pytanie, czy aby nie odwdzięcza się za zaciągnięty od KGB dług". Mamy do Pana Premiera Tuska serdeczną prośbę: niech Pan uspokoi panią Pełczyńską-Nałęcz, że wszyscy wiemy, że wykazuje wymaganą u patriotki dawkę rusofobii i nie musi już się rehabilitować za to, że jej matka była Rosjanką. Bo naprawdę przykro patrzeć, jak się kobieta męczy.

Podobnie mądry (a do tego niegramatyczny) tekst opublikował szef Biura Polityki Międzynarodowej Prezydenta RP Marcin Przydacz, komentując zaplanowany na grudzień szczyt G20, gdzie zaproszony jest i prezydent Nawrocki, i prezydent Putin: „Mając jednak na uwadze możliwą obecność W. Putina trwa analiza czy do polskiej delegacji nie powinien zostać doproszony minister R. Sikorski lub premier D. Tusk. To ci politycy mają doświadczenie w bezpośrednich uściskach z politykami z Kremla". Zapytany, czy Nawrocki poda rękę Władimirowi Putinowi, Przydacz odparł: „Wszelkiego rodzaju kontakty z Władimirem Putinem wiążą się z pewnym ryzykiem, także fizycznym". No, my rozumiemy, że efekt zwarcia dżudoki z bokserem jest nie do przewidzenia, ale Nawrocki jest od Putina 16 centymetrów wyższy i 30 lat młodszy. Panie prezydencie, odwagi!

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA



Październik 2014 r.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Świętego Boduena

W artykule „Oskarżony Popiełuszko" cytuje mnie Grzegorz Majchrzak („Do Rzeczy" z 15 października): „Oczywiście nie był to jedyny paszkwil Urbana poświęcony kapłanowi. 19 września 1983 r., tym razem pod swoim najbardziej znanym pseudonimem Jan Rem, napisał on artykuł »Seanse nienawiści« w czasopiśmie »Tu i Teraz«, w którym stwierdzał m.in.: »W kościele księdza Popiełuszki urządzane są seanse nienawiści«. W tym pełnym insynuacji tekście można też znaleźć następujące stwierdzenia: »Ten mówca ubrany w liturgiczne szaty nie mówi niczego, co byłoby nowe lub ciekawe dla kogokolwiek. Urok wieców, jakie urządza, jest odmiennej natury. Zaspokaja on czysto emocjonalne potrzeby swoich słuchaczy i wyznawców politycznych«".

Nie wiem, co tu oburza. Tak recenzowałem publiczne występy księdza. Podtrzymuję cytowaną opinię.

Świętego Luca

W związku z Popiełuszką kilka słów o pseudonimie Jan Rem. W początkach lat 80. wymusili go katolicy. Będąc rzecznikiem rządu, jako Urban oburzyłem się w felietonie na sakralizację Maksymiliana Kolbego, przed wojną dyrektora wydawnictw antysemickich. W sejmie posłowie katoliccy zażądali mojej dymisji i wyjaśnienia, czy jest to pogląd rządu na beatyfikację. Premier Jaruzelski odmówił wyrzucenia mnie i oznajmił, że rządu nie obchodzą czynności wewnątrzkościelne, a ja wyrażałem swoją osobistą opinię o Kolbem. Katole zażądali, trafnie zresztą, żebym inaczej podpisywał poglądy prywatne i rządowe. Sięgnąłem więc po pseudonim Jan Rem używany w czasach, gdy mojego nazwiska cenzura nie dopuszczała do druku. Przypisywany mi pseudonim Michał Ostrowski to nie ja.

Świętego Rene

Prawicowa prasa nawiązuje do mody moczarowców z 1968 r. i podaje przedwojenne nazwiska Żydów, aby współcześnie zaznaczyć niearyjskość tych osób, czyli włożyć im opaski z gwiazdą. Dawnego szefa „Życia Warszawy" Wiktora Borowskiego piętnuje, dopisując „właściwe" nazwisko rodowe. Ja jestem „właściwie Urbach", bo takie nazwisko nosiłem przez pierwsze siedem lat życia. W proteście chętnie bym do niego wrócił, pomimo to, że nazwisko Urban mam wyrobione i dochodowe. Prawnik odwiódł mnie od tego zamiaru. Trzeba by zmieniać liczne akty notarialne, nazwy kont bankowych, dokumenty. Powrót do korzeni to zajęcie na resztę życia, a Urbach dopiero na nagrobku to już mała frajda.

Świętej Adeliny

Pod drewnianym tarasem będącym przedłużeniem naszego domu położonym w ogrodzie na ziemi zamieszkał zaskroniec. Pudel Azor oszalał. Całymi dniami biega po tarasie z nosem przy ażurowych deskach podłogi, skacze w rytm ruchów zaskrońca. Jak długo taki wąż żyje? Może kiedy śnieg spadnie, Azorek przestanie wyczuwać gada i zechce znów biegać za mną, nieszczęsnym rywalem węża, którego nigdy pudel nie dopadnie.

Świętego Ceprina

Nie dla psa kiełbasa. Azor został wegetarianinem. Lubi jeść nasturcje, świeżego smażonego turbota, wędzone szprotki, ser cheddar, przegrzebki, krewetki. Posmakowawszy kociego gówna, bieży całować mnie w usta z języczkiem.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Świętej Celiny

Z wyjątkiem Komorowskiego wszyscy politycy wzbudzają nieufność. Pomimo to głosujemy na nich, a nie na wpisywanych na listy wyborcze sportowców, celebrytów itd. Straciliśmy zaufanie do lekarzy, ale do nich chodzimy, stojąc w kolejkach. Nie widzimy różnicy pomiędzy adwokatem i kanciarzem, a jednak mu płacimy. Wszystko to dlatego, że chociaż teoretycznie najwyżej stawiamy zaufanie, w praktyce szukamy skuteczności.

Świętej Eladii

Superkatolik Terlikowski broni tabu. Niech mu będzie: 1 listopada nie pójdę obsikać grobu moich rodziców.

Świętej Elodii

Znałem w życiu osobiście chyba nie setki, ale tysiące ludzi. Teraz po raz pierwszy mam wśród znajomych, z którymi obcuję, prawdziwego katolika. Bardzo podniecające i egzotyczne. Ku mojemu osłupieniu to mądry, ciekawy, bardzo sympatyczny człowiek. Nazwiska nie zdradzę do grobowej deski. Z kilkoma osobami zadaję się w konspiracji dla ich dobra. Kiedyś były to dziewczyny, dziś mężczyźni. Nie znaczy to, że stałem się homo. To powody konspiracji zmieniły się z małżeńskich na polityczne.

Świętego Jeana

Moja była zmarła już żona nr 2 z ćwierć wieku temu wydała książkę „Urban – byłam jego żoną". Pisze tam, jaki jestem obrzydliwy, ale mnie to ani nie uraziło, ani nie przekonało. Na moim życiu zaciążyło natomiast jedno zdanie z tej książki. Pisze ona, ta była, że związałem się z Daniszewską (potem żoną nr 3), bo chcę zerżnąć jej córkę. W chwili związania się z Daniszewską córka ta miała 10 lat, gdy ukazała się książka – 15 lat, a teraz ma 40. Mimo silnych uczuć do tej pasierbicy po dziś dzień jej nie dotykam z wyjątkiem podania ręki. Jedno zdanie rozzłoszczonej kobiety wywarło wpływ na styl obcowania z przybraną córką przez całe ćwierć wieku. I nie chodzi tu o żaden jej lęk, tylko o mój, żeby sobie nie pomyślała, że żona nr 2 miała rację. Opisy żony nr 2, jak kradnę w mieszkaniach znajomych, były dla mnie natomiast bez znaczenia.

Świętego Florentina

Daniszewska chorowała beznadziejnie i endokrynologicznie. Wyleczył ją dentysta z Nowego Jorku, francuski arystokrata, były mąż Hanki Bakuły. Ostatnio Daniszewska przyniosła wyniki badań wskazujące, że jest zdrowa jak nasza gospodarka. Moja nowa narzeczona, która już uszyła sobie ślubną suknię, teraz na wieść o ozdrowieniu Daniszewskiej próbowała popełnić samobójstwo i pogotowie zabrało ją do szpitala im. Jana Pawła II na OIOM im. JP2. 31 lat, blondynka z odrostami, przed stosunkiem zdejmuje nadmiar włosów. Połknęła całe opakowanie proszków nasennych i popiła dwiema flaszkami 0,7 wódki Smirnoff, którą jej podarowałem zamiast pierścionka zaręczynowego. Czy narzeczona mnie kocha, czy szantażuje – oto jest pytanie. Podejrzane jest to, że zanim skończyła popijać, już dzwoniła na pogotowie ratunkowe. Czuję się paskudnie oszukany przez nią, a mimo to kwiaty posłałem. Na OIOM-ie nie wolno stawiać, odesłali je więc zapewne, kurwa, do kaplicy.

Świętego Lesne

Mgr Dorota Rupińska-Wziołek przeprowadziła imienną ankietę wśród osób o różnych poglądach potrzebną jej do pracy doktorskiej. Pytała o sprawy miłosne i miłosno-prawne. Wyraziłem pogląd, że wierność w miłości istnieje, ale dotyczy tylko miłości własnej. Pytany byłem, czy powinna być karana zoofilia, nekrofilia, kazirodztwo, pedofilia. Jestem za karaniem wyłącznie pedofilii. Niektóre przyjemności wymagają dreszczyku ryzyka. Gdyby wolno było współżyć płciowo z dziećmi, nikt by tego nie robił. Dzieci są obrzydliwe przecież. ❑



Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Prezydent wypłaca odszkodowania

W swoim czasie PiS blokował poddanie SKOK-ów nadzorowi KNF (...). Gdy hochsztaplerzy spod ich znaku (niejaki Biernacki) się obłowili, odszkodowania wypłacono z pieniędzy podatników.

Teraz historia się powtarza z kryptowalutami. Trzy podejścia rządu to już o dwa za dużo! Teraz codziennie winien iść komunikat: „Inwestujący w kryptowaluty oraz obracający nimi na giełdach nie mają żadnej ochrony państwa. Państwo nie ponosi odpowiedzialności za ich decyzje finansowe i nie będzie wypłacać odszkodowań". Po odszkodowania proszę się zwracać do Kancelarii Prezydenta.

CAR

PS Czy nie można dokonać nowelizacji budżetu na 2026 r. i obciąć fundusze tej kancelarii? A na 2027 okroić o 50 proc.?

Przyzwyczajać się, przyzwyczajać się, przyzwyczajać się

Początek roku szkolnego (...) pozwolił mi zidentyfikować kolejny odcinek, na którym Wschód (...) atakuje niewinną Polskę. W lekturze do klasy pierwszej szkoły podstawowej znalazłem mianowicie wyraźną reklamę wywodzącej się z Chin kombuczy (kwasu herbacianego) jako napoju dla nieletnich. Otóż pragnę zasygnalizować, że zawiera on ok. 0,5 proc. alkoholu (w wersji ogólnie dostępnej). Również (...) AI wskazuje tylko, żeby nie podawać kombuczy małym dzieciom, a nie dzieciom w ogóle. Jednocześnie piwo 0,0 proc., czyli napój naprawdę bezalkoholowy, jest wyraźnie odradzany, aby nie wyrobić u milusińskich złych nawyków. Konstatacja jest taka, że Kitajec podstępnie nalewa kwas do szklanych butelek i rozpija nim swoich pańszczyźnianych chłopów niejako od podstaw, obłudnie udając propagatora trzeźwości.

GRL

eprasa.pl 8821106aca

Pięć procent odjechało

Pacyfiści bezpańscy

W żenującym wyniku posłanki Nowej Lewicy Darii Gosek-Popiołek, która w wyborach na prezydenta Krakowa dostała niespełna 5 proc. głosów, szef lewicy znalazł powód do złośliwej satysfakcji. Otóż owszem, Gosek-Popiołek przegrała z kandydatką Razem, radną Owcą, która miała prawie 7 proc. – ale w tymże Krakowie „rok temu w wyborach prezydenckich Magdalena Biejat miała 6,07, a Adrian Zandberg 10,64", więc „kandydatka Razem wzięła mniej o 4 proc., a kandydatka Nowej Lewicy mniej o 1,2 proc.". Lekko mi umyka istota zadowolenia Czarzastego: rok temu jego potężna struktura partyjna, mająca na swoim koncie prezydenta i czterech premierów, nie potrafiła wystawić lepszego kandydata niż formacja młodzieżowa, która ani razu nie dostała się samodzielnie do sejmu – i teraz też nie potrafiła, ale tamta wtopa jest procentowo większa od tej wtopy?

W jednej sprawie przyjdzie mi wszakże zgodzić się z marszałkiem Czarzastym: „to, co jest złe dla lewicy faktycznie, to to, że 5 proc. odjechało".

Pytanie: dlaczego?

Zgoda: Nowa Lewica bierze współodpowiedzialność za wybitnie nielewicową politykę tego rządu. Są tacy lewicowi wyborcy, którzy oczekiwaliby, żeby w języku (i polu widzenia) władzy pojawiali się „pracownicy", a nie tylko „przedsiębiorcy"; uważają, że uchodźcy są ludźmi, a zakaz azylu czy bezkarność strzelania do nich to zwykłe skurwysyństwo; sądzą, że pilniejsze jest uwolnienie od podatku osób zarabiających płacę minimalną, a nie tych, którzy przytulają dyszkę; martwią się rosnącym bezrobociem i rzygać im się chce, jak słyszą o „dwudziestej gospodarce świata"… Mogę tak jeszcze długo – ale generalnie chodzi o to, że sporo ludzi lewicy nie jest w stanie z czystym sumieniem popierać tego rządu, a więc także jego części, jaką jest Nowa Lewica.

Tu jednak pojawia się proste rozwiązanie: skoro chcesz głosować na lewicę, a nie możesz na Nową, to masz Razem – które owszem, bywa irytujące, ale pod powyższym względami ma czyste sumienie. Jednak to przeniesienie z jakiegoś powodu nie następuje.

Mam w tej sprawie bluźniercze wyjaśnienie: otóż prawdziwa lewicowość łączy się z pacyfizmem. Tym wyrażonym najdoskonalej przez Tuwima: „Rżnij karabinem w bruk ulicy! Twoja jest krew, a ich jest nafta!".

Taki pacyfizm oczywiście potępia Rosję i jej atak na Ukrainę – ale dostrzega też geopolityczne źródła tej wojny i rozumie, że imperializm amerykański i jego trwający od upadku ZSRR Drang nach Osten odgrywał tu porównywalną rolę jak imperializm rosyjski. A Ukraina jest ofiarą śmiertelnego uścisku tych dwóch imperiów.

Taki pacyfizm nie poddaje się bezrozumnie wojennej histerii, którą z taką determinacją wzbudza w nas rząd z premierem Tuskiem na czele. NATO ma gospodarkę 20 razy większą niż Rosja, wydaje na zbrojenia 10 razy więcej, ma ponad dwa razy więcej ludzi pod bronią. Koncept, że Rosja miałaby zaatakować kraj NATO, jest absurdalny. Zdobycie Polski byłoby nieprawdopodobnie trudne, stałe jej okupowanie – niemożliwe.

Owszem, Rosja ma skłonność do podpuszczania krajów NATO, w tym Polski, różnymi aroganckimi ekskursjami – ale fakt, że rosyjski helikopter spędził 42 sekundy w polskiej przestrzeni powietrznej nie uzasadnia wydawania 200 mld rocznie na armię, kiedy służba zdrowia bankrutuje, emeryci wybierają między lekami a czynszem, a młodzi ludzie nie mają szans na dach nad głową. Według sierpniowego sondażu SW Research 11 proc. Polaków jest za zmniejszeniem wydatków na wojsko. Do nich nikt nie mówi – ani z Nowej Lewicy, ani z Razem.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Podobnie jest z fetyszem „stałej bazy amerykańskiej". Ludzie lewicy nie kochają Stanów Zjednoczonych – z ich mroczną historią organizowanych przez CIA zamachów stanu, mordowania lewicowych przywódców w imię interesów zachodnich korporacji, wspierania krwawych prawackich dyktatur. Wrześniowy sondaż SW Research wskazał, że 17,5 proc. Polaków nie uważa, że stała baza USA zwiększyłaby nasze bezpieczeństwo. To też grupa, która nie ma swoich reprezentantów w politycznej debacie.

W tym tygodniu wiceminister Tomczyk z dumą ogłosił, że polska obrona powietrzna odejdzie od obowiązującej w czasie pokoju procedury „identyfikacji wizualnej" – zasady, że trzeba widzieć to, do czego się strzela – na rzecz „identyfikacji pozytywnej", która oznacza, że „pilot albo dowódca operacyjny będzie mógł podjąć decyzję o zestrzeleniu obcego statku powietrznego na podstawie odczytów radarowych oraz innych informacji, które trafiają do systemu". Nikt nie zapytał, o ile zwiększa to ryzyko, że ktoś zginie: załoga „statku powietrznego" – polska, ukraińska, rosyjska – albo ludzie na ziemi, na których spadnie coś, co zostanie na ślepo zestrzelone przez kowboja z Patriotem. I jaka eskalacja może z tego wyniknąć. Bardzo byśmy chcieli, żeby ktoś z lewicy postawił te pytania.

Ci spośród ludzi lewicy, którzy od pięciu lat zachowują symetryzm w ocenie wojny rosyjsko-ukraińskiej i mają odwagę mówić, że wysyłanie coraz większej ilości broni w rejon konfliktu zbrojnego nie jest drogą do pokoju – słyszeli już wszelkie obelgi. Żadne „ruskie onuce" ani „pożyteczni idioci Putina" nie skłonią nas do głosowania na podżegaczy wojennych.

Co nie znaczy, że będziemy głosować na Brauna. Zostaniemy w domu i poczekamy na prawdziwą, odważną, pacyfistyczną lewicę.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Wyborcza kampania strachu?

Państwo zamawia armaty za setki miliardów, a obywatelowi radzi kupić latarkę i radio na korbkę.

Z jednej strony rząd mówi, że Polska staje się bezpieczniejsza. Z drugiej obywatel dowiaduje się, że powinien posiadać plecak pozwalający szybko opuścić dom.

Gdyby bezpieczeństwo państwa mierzyć pieniędzmi, Polska powinna właśnie zaczynać uchodzić za jedną z najbezpieczniejszych krain kontynentu. W tegorocznym budżecie oraz w Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych na obronę narodową przeznaczono 200,1 mld zł, czyli 4,81 proc. PKB. A przecież to dopiero początek finansowego uzbrajania ojczyzny. Z europejskiego instrumentu SAFE dostaniemy do dyspozycji pożyczkę sięgającą 43,7 mld euro, czyli ponad 180 mld zł. Polski plan obejmuje prawie 140 projektów, od Tarczy Wschód poprzez drony i antydrony, cyberbezpieczeństwo, ochronę infrastruktury krytycznej Bałtyku, technologie kosmiczne i sztuczną inteligencję aż po wojskową mobilność. Rząd podaje, że 89 proc. tej kasy ma trafić do polskiego przemysłu i gospodarki.

Silni i zwarci

I nie są to pieniądze istniejące jedynie w wirtualnych prezentacjach. Wojsko zamawia 190 zestawów bezzałogowców, ponad 400 zestawów amunicji krążącej, 12 modułów bateryjnych, 18 bateryjnych modułów systemu przeciwlotniczego SAN, ponad 300 tys. hełmów i dziesiątki tysięcy kamizelek kuloodpornych. Do tego dochodzą dwa okręty hydrograficzne, wozy, artyleria, łączność i cała masa sprzętu, którego przeciętny obywatel nie potrafiłby nazwać nawet wtedy, gdyby mu go postawić przed blokiem.

Samych systemów artyleryjskich przewidzianych w SAFE ma być za 47,6 mld zł. Obrona przeciwlotnicza, przeciwrakietowa, bezzałogowce i systemy antydronowe pochłoną 44,2 mld zł, zaś walka naziemna i systemy wsparcia kolejne 32,3 mld zł.

Na dokładkę budujemy jeszcze fortyfikacje. Tarcza Wschód ma utrudnić ruskim sołdatom przedarcie się przez wschodnią flankę Rzeczypospolitej, a więc pojawiają się zapory, umocnienia, przeszkody i rozwiązania antydronowe. Program ma zostać zakończony do 2028 r., a jego pierwotnie deklarowany koszt to 10 mld zł. Polska wpuszcza zatem w wojsko pieniądze, a w obywatela przekonanie, że również on powinien przygotowywać się na chwilę, gdy ta kosztowna machina bezpieczeństwa nie będzie w stanie go ochronić.

W styczniu do polskich skrzynek pocztowych trafił „Poradnik bezpieczeństwa". Rząd wydrukował 16,8 mln egzemplarzy. Sam druk kosztował ponad 46,5 mln zł, czyli 2,76 zł za książeczkę. Za dostarczenie publikacji Poczcie Polskiej przyznano kontrakt na 11,4 mln zł, czyli około 68 groszy od egzemplarza. Opracowanie graficzne kosztowało jeszcze ok. 100 tys. zł. Do końca stycznia poradnik dostarczono do 16 321 144 gospodarstw domowych. Razem sam projekt graficzny, druk i dystrybucja dają ponad 58 mln zł.

W publikacji najważniejsza jest liczba 72. Obywatel ma przygotować się tak, aby przez pierwsze trzy doby kryzysu potrafił funkcjonować samodzielnie. Zalecane minimum wody wynosi 3 litry na osobę dziennie, czyli 9 litrów na jednego człowieka. Do tego żywność, leki, apteczka, środki higieniczne, radio na baterie, latarka, powerbank, koce, śpiwory, ciepłe ubrania i gotówka w niewielkich nominałach. Człowiek zaczyna czytać tę listę jako obywatel, a kończy jako początkujący uczestnik survivalu.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Naród niegotowy

Tyle że Polacy tej obywatelskiej logistyki nie opanowali. Badanie SW Research dla Fundacji Castorama Polska pokazało zabawną sprzeczność między tym, co o sobie myślimy, a tym, co rzeczywiście mamy w szafie. 75,8 proc. respondentów deklaruje, że wie, jak zachować się podczas pożaru albo ewakuacji. Ale już tylko 44,9 proc. uważa własny dom za przygotowany na kryzys. Co trzeci badany twierdzi wprost, że jego mieszkanie przygotowane nie jest, a ponad jedna piąta wcześniej nawet się nad tym nie zastanawiała.

Latarkę awaryjną ma 52 proc., apteczkę 49 proc., a powerbank lub inne awaryjne źródło energii 43 proc. ankietowanych. Czujnik dymu znajduje się tylko w co czwartym domu. Gaśnica również. Zaledwie co dziesiąty respondent ma gotowy zestaw ewakuacyjny albo wcześniej przygotowany plan działania. Za najbardziej prawdopodobne nieszczęścia Polacy uznają awarię prądu, pożar i gwałtowną wichurę.

I właśnie tu bezpieczeństwo państwa spotyka się z biznesem. Bo jeśli dziewięciu na 10 Polaków nie ma zestawu ewakuacyjnego, a państwo przez skrzynkę pocztową, internet, mObywatela i Alert RCB tłumaczy, że dobrze byłoby go posiadać, to powstaje całkiem pokaźna grupa potencjalnych klientów.

Oczywiście można plecak skompletować samemu. Ale człowiek współczesny nie po to kupuje gotową sałatkę, żeby samodzielnie kompletować sprzęt na armagedon.

W internecie wyrosła więc cała kategoria produktów, których jeszcze niedawno przeciętny klient nawet nie wpisywał do wyszukiwarki – plecak awaryjny, plecak 72h, plecak survivalowy, plecak ewakuacyjny, zestaw przetrwania, bug-out bag. W aktualnych ofertach można znaleźć gotowe zestawy za kilkaset złotych, ale są też plecaki kosztujące około 1800 zł, a rozbudowane zestawy dochodzą do 2999 zł. W jednym tylko przeglądzie ofert OLX wyszukiwarka wyświetliła 132 ogłoszenia związane z wyposażonym plecakiem ewakuacyjnym. To nie dowodzi jeszcze boomu sprzedażowego, bo liczba ofert nie jest liczbą sprzedanych sztuk, ale tego, że wokół nowej potrzeby istnieje już całkiem realna podaż.

Państwo samo zresztą stało się klientem tego rynku. W kwietniu Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych rozstrzygnęła zamówienie na 390 plecaków ewakuacyjnych, każdy składający się z 24 elementów. Cena jednego kompletnego zestawu nie mogła przekroczyć 973,69 zł brutto. W przetargu wpłynęło 17 ofert, z czego 15 od małych i średnich przedsiębiorstw. Najtańsza opiewała na 323 557,65 zł, najdroższa – na 445 641,30 zł, a kontrakt zawarto na około 323,6 tys. zł.

Mechanizm jest banalny i nie wymaga żadnego spisku producentów plecaków z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych. Państwo wskazuje ryzyko, media je opisują, obywatel zaczyna się bać i zastanawiać, czy ma radio, filtr do wody, powerbank, apteczkę, maskę i nóż. Rynek odpowiada ofertą produktu pozwalającego kupić poczucie przygotowania za jednym kliknięciem. Im częściej mówi się o kryzysie, tym większa jest potencjalna wartość produktów mających przed kryzysem chronić. Państwo uruchomiło ogromną kampanię, prywatny rynek zaś dostarcza rzeczy, które ta kampania każe obywatelowi uznać za przydatne. Tak właśnie rodzi się popyt.

Kampania przed kampanią?

Ciekawszy jednak jest polityczny paradoks całej operacji.

Bo procedury ewakuacji już są. Jeśli w miejscu pobytu pojawi się bezpośrednie zagrożenie życia lub zdrowia, oficjalny poradnik każe nie zwlekać. Gdy władze lub służby zarządzą ewakuację, obywatel ma się zastosować do poleceń, zamknąć okna, odciąć wodę, wyłączyć prąd i gaz, wygasić piec, kominek lub kuchenkę, odpowiednio się ubrać, zabrać plecak, sprawdzić sąsiadów i udać się do wyznaczonego miejsca.

Samo istnienie takich procedur nie jest oczywiście dowodem nadciągającej wojny. Tyle że polityka nie składa się wyłącznie z tego, co władza robi, ale i z tego, jak o tym opowiada. Polak dostaje dziś dwa komunikaty naraz. Pierwszy brzmi: „budujemy armię potężniejszą niż kiedykolwiek", drugi: „uciekaj". Jeden komunikat daje poczucie bezpieczeństwa, drugi buduje zagrożenie.

Tu pojawia się pokusa, żeby całą akcję włożyć do politycznej szufladki i napisać, że chodzi o wybory. Żaden przedstawiciel władzy nie powie szczerze: „przestraszmy ludzi, a potem przedstawmy się jako ich jedyni obrońcy". Ale przecież rząd bardzo mocno wiąże wielkie wydatki obronne ze swoją sprawczością. Oficjalny przekaz o SAFE mówi o największych w historii środkach inwestycyjnych na bezpieczeństwo i armię. To bardzo wdzięczny politycznie produkt. Władza mówi: „Zagrożenie jest poważne, ale my działamy. Rosja zagraża, ale mamy SAFE. Ale jakby co, to może być konieczna ewakuacja".

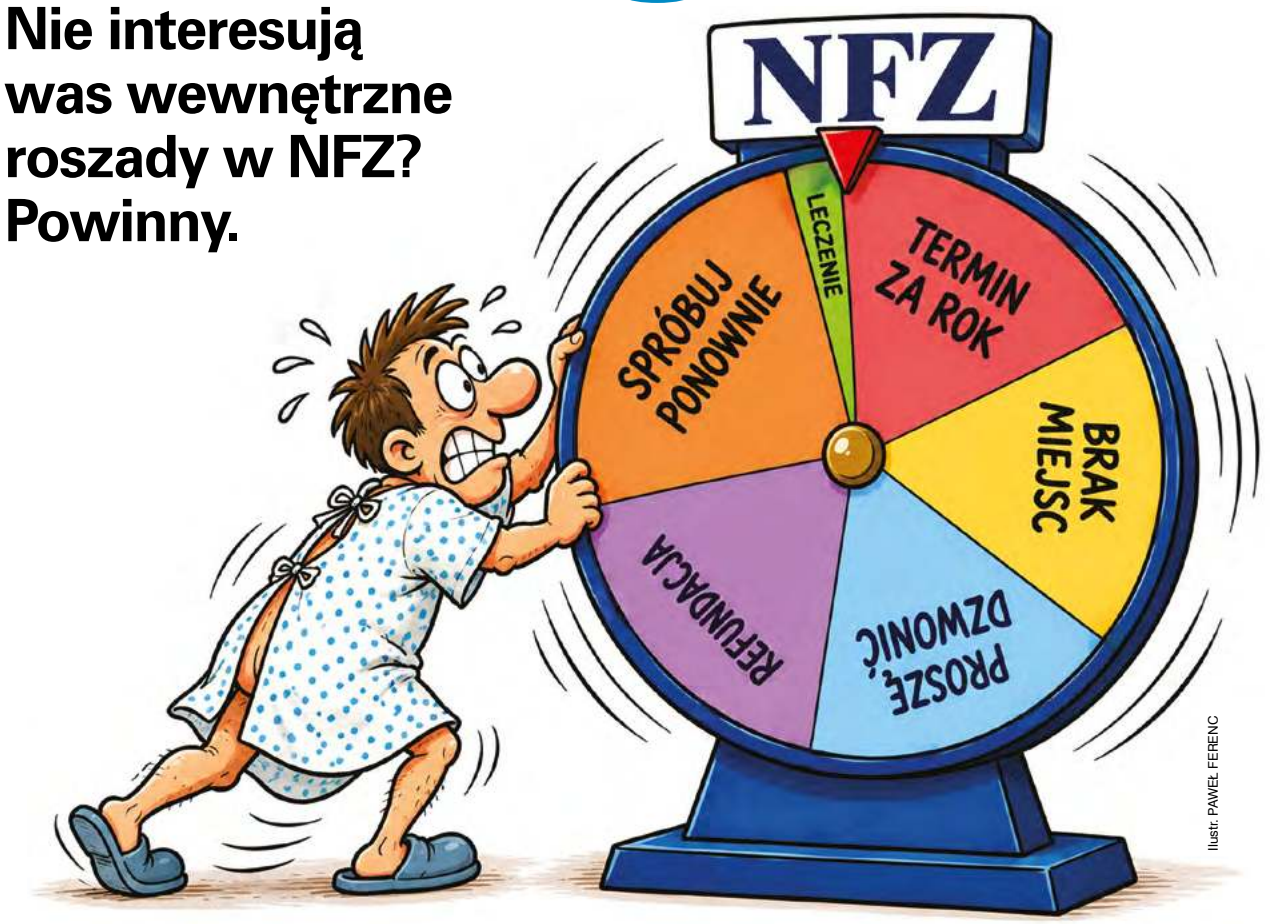
Nie trzeba więc dowodzić istnienia kampanii strachu, żeby zauważyć oczywistą polityczną użyteczność takiej narracji. Bezpieczeństwo ma tę cudowną właściwość, że problem i rozwiązanie można komunikować jednocześnie. A im większe zagrożenie, tym ważniejszy staje się ten, kto zapewnia, że potrafi przed nim chronić. Rynek strachu, zarówno ten biznesowy, jak i polityczny, nie wymagają tego, żeby katastrofa nastąpiła. Wystarczy, że klient czy wyborca uznają ją za dostatecznie prawdopodobną.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl 8821106aca

Nowak gromowładny

Nie interesują was wewnętrzne roszady w NFZ? Powinny.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Rada Ministrów przyjęła pakiet projektów ustaw, który zmienia zasady zatrudniania i wynagradzania personelu medycznego. Glejty określają limity czasu pracy, minimalny wymiar zatrudnienia dla medyków oraz limity wynagrodzeń. Przed posiedzeniem rządu do propozycji odniósł się premier Donald Tusk. „Zmiany, jakie proponujemy, uniemożliwią dalsze wyzyskiwanie NFZ" – powiedział.

Z pewnością, szczególnie że prezes Narodowego Funduszu Zdrowia, dzięki zmianie przepisów, zyska niespotykane w dotychczasowej historii tej instytucji kompetencje. Wbrew pozorom pacjenci nie mają powodów do radości.

Odwracanie ustawy ogonem

W myśl projektowanych zmian prezes NFZ (aktualnie stołek piastowany jest przez Filipa Nowaka), skonsoliduje w swoich rękach pełnię władzy kadrowej i otrzyma uprawnienia kontrolno-nadzorcze o charakterze systemowym. Co to oznacza?

Zgodnie z nową propozycją prezes Narodowego Funduszu Zdrowia sam będzie powoływał i odwoływał dyrektorów oddziałów wojewódzkich. Zmiana odwraca stan prawny obowiązujący od 2015 r., zgodnie z którym to minister zdrowia wskazywał szefów oddziałów NFZ, a prezes Funduszu jedynie wydawał opinię o kandydacie. Reformę sprzed dekady uchwalił rząd Koalicji Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego. Ówczesny minister zdrowia Bartosz Arłukowicz cieszył się ze zmiany, a radość argumentował tym, że resort ma kreować politykę zdrowotną, a płatnik – realizować finansowanie. Ponoć podział kompetencji w tej formie się nie sprawdził, a planowany obecnie kierunek zmian w tym zakresie jest słuszny. Czy aby na pewno?

Dyrektorzy regionalni NFZ zarządzają publiczną ochroną zdrowia na poziomie danego województwa. Przeprowadzają konkursy ofert, podpisują umowy z placówkami medycznymi, realizują regionalny plan finansowy i nadzorują, czy podmioty lecznicze realizują podpisane umowy zgodnie z prawem. Co najważniejsze, współdziałają z wojewodą, marszałkiem województwa i lokalnymi władzami przy tworzeniu polityki zdrowotnej regionu. Dla przykładu: wojewoda analizuje, na co najczęściej chorują mieszkańcy. Jeśli w regionie zwiększa się liczba zaraczonych lokalsów, wspólnie z dyrektorem NFZ ustala, że w kolejnych latach trzeba przesunąć więcej środków na finansowanie onkologii zamiast np. ortopedii.

Minister zdrowia, patrząc na system szerzej, może mianować dyrektora, który rozumie specyfikę społeczną regionu i związane z nią problemy. Głównym zadaniem prezesa NFZ jest natomiast dbanie o szeroko pojętą dyscyplinę budżetową. Istnieje zatem ryzyko, że powoływani i odwoływani przez niego dyrektorzy będą rozliczani głównie przez pryzmat kryteriów finansowo-księgowych. Ot, chociażby na podstawie oszczędności z braku nadwykonań.

Jest jeszcze jeden kwiatek. Zgodnie z polskim systemem prawnym (i zwyczajowym) to minister zdrowia zbiera od sejmu i obywateli joby za realizację polityki zdrowotnej państwa. Gdy minister osobiście powołuje dyrektorów regionalnych, istnieje bezpośrednia linia odpowiedzialności politycznej za to, kto zarządza budżetami w województwach, a co za tym idzie, w całym państwie. Przeniesienie tej kompetencji na prezesa NFZ – który sam jest urzędnikiem, a nie członkiem Rady Ministrów – tę odpowiedzialność rozmywa. Ministerstwo z automatu może odciąć się od błędnych decyzji personalnych na poziomie lokalnym, twierdząc, że to autonomiczne decyzje funduszu. Jest bajer? To nie wszystko.

Dobry pan pozwoli

Nowy projekt rządu wprowadza sztywne limity zarobków oraz czasu pracy dla medyków. Ponieważ lekarze masowo łączą pracę w państwowej służbie zdrowia i placówkach prywatnych, urzędnicy potrzebowali skutecznego narzędzia, żeby przetrzepać ich rzeczywiste grafiki również w sektorze komercyjnym. Otrzymali je.

W projekcie ustawy znalazł się zapis, dzięki któremu prezes NFZ zyska prawo do wglądu w dokumentację medyczną i kadrową nawet w lecznicach, które nie mają podpisanej umowy z funduszem. Jeśli właściciel placówki odmówi okazania dokumentów, dostanie karę sięgającą 30 tys. zł.

Zanim ktoś się ucieszy, jakiego kopa w dupę państwo da krwiopijcom

Rzeczpospolita dietetyczna

Państwo przejęło hasło ruchu ludowego i zamiast tylko bronić, zaczyna żywić.

Przez dziesięciolecia RP nie była przesadnie zainteresowana tym, czym żywi się człowiek pozostający pod jej opieką. Uczeń mógł dostać zasmażaną kapustę, ziemniaki i kotlet o pochodzeniu ginącym w pomroce dziejów przemysłu mięsnego, pacjent – kromkę chleba z czymś, co z daleka przypominało wędlinę, a więzień – kaszę, soję i salceson. Wszystko zgodne z filozofią żywienia zbiorowego, wedle której jedzenie publiczne powinno mieć dwie podstawowe cechy: dać się policzyć w kaloriach i zmieścić w stawce.

Edukowanie cieciorką

Przez 10 lat szkolny jadłospis funkcjonował na podstawie rozporządzenia z 2016 r. i jakoś młodzież przetrwała. Weszły jednak przepisy, które mają uwzględniać zasady „diety planetarnej", czyli sposobu żywienia mającego jednocześnie służyć człowiekowi i Ziemi. A to stąd, że ministerstwo alarmuje, że nawet 80 proc. polskich dzieci nie je zalecanej ilości warzyw i owoców, a odsetek młodych ludzi z nieprawidłową masą ciała rośnie.

Według nowych reguł przynajmniej raz w tygodniu uczeń ma dostać pełnowartościowy obiad oparty na nasionach roślin strączkowych i całkowicie pozbawiony produktów odzwierzęcych. Czyli nie dodamy kawałeczka kiełbasy do fasoli. Fasola ma być fasolą, a soczewica soczewicą.

Do tego przynajmniej jeden obiad w tygodniu ma zawierać rybę. Dwa razy w tygodniu może pojawić się danie mięsne, ale ze świeżego mięsa, bez kombinowania z produktami wysokoprzetworzonymi. Minimum dwa razy w tygodniu zupa ma powstawać na wywarze warzywnym. Do jadłospisu mocniej wchodzą produkty pełnoziarniste, warzywa i owoce, w przygotowywanych na miejscu napojach ma być mniej dodawanego cukru, a wodę wyniesiono właściwie na pozycję napoju urzędowo słusznego.

Rzeczywistość zaskrzeczała. Dietetyczka z poznańskiej podstawówki opowiedziała mediom, że nawet gdy na talerzu leżał tradycyjny zestaw z mięsem, ziemniakami i surówką, około 80 proc. dzieci surówki nie jadło. Przy obiadach opartych wyłącznie na warzywach albo rybie było jeszcze gorzej. Spora część nowego zdrowego obiadu po prostu trafia do kosza, a część uczniów rezygnuje ze stołówki. Rodzice popierają warzywa i ograniczenie cukru, ale przede wszystkim chcieliby, żeby dziecko obiad zjadło.

Ministra Nowacka awanturę uznała za przekraczającą zdrowy rozsądek. Trudno się dziwić. Z punktu widzenia ministra edukacji sprawa wygląda przecież wzorcowo: fachowcy przygotowali normy, bo dzieci są za grube, a warzywa są zdrowe, więc dajemy dzieciom warzywa. Tyle że żywienie dzieci różni się od rozporządzenia tym, że to ostatnie musi wejść w życie, a brokuł, gdy zostanie położony na talerzu, wcale nie musi trafić do przełyku dziecka.

Przewidziano nawet sytuację ucznia, który produktów odzwierzęcych nie je. Kiedy reszta dostaje mięso albo rybę, taki dzieciak ma otrzymać pełnowartościowy posiłek roślinny. Uwzględniono również produkty bezglutenowe i bezlaktozowe oraz roślinne zamienniki mleka wzbogacane co najmniej w wapń i witaminę B12. Nowe rozporządzenie jest więc na tyle dokładne, że państwo nie tylko wie, co dziecko powinno zjeść, ale także czym należy zastąpić mleko, gdy go nie pije.

Leczenie ziemniakiem

W szpitalach trzeba było czekać do 2026 r., aby Rzeczpospolita odkryła, iż człowiekowi choremu warto podawać jedzenie pasujące do choroby, a zawartość talerza dobrze by było czasem skontrolować inaczej niż pytaniem kucharki, czy zupa wyszła.

Od stycznia więc posiłek chorego ma odpowiadać jego stanowi zdrowia, być zbilansowany i urozmaicony. Powinien być przygotowany zgodnie z aktualną wiedzą medyczną i dietetyczną. Ministerstwo wyjaśnia, że prawidłowe żywienie wpływa na stan odżywienia, rekonwalescencję i skuteczność terapii. A do tej pory widać nie wpływało.

O tym, co pacjent będzie jadł i jak długo, ma decydować lekarz. Ma przy tym uwzględniać stan zdrowia. Gdy człowiek ma trudności z przełykaniem, brana jest pod uwagę nawet ocena dokonana przez logopedę. Można też uwzględnić wyznanie, światopogląd czy uwarunkowania kulturowe pacjenta, pod warunkiem że nie kolidują ze zdrowiem.

Na tym nie koniec. Jadłospis ma układać dietetyk, i to z co najmniej 10-dniowym wyprzedzeniem. Nie wystarczy przy tym napisać na kartce „zupa jarzynowa, ziemniaki, mięso, kompot". Państwo chce wiedzieć, co dokładnie znajdzie się w posiłku. Jadłospis powinien uwzględniać wartość energetyczną i odżywczą, ilość białka, węglowodanów, cukrów, tłuszczu, nasyconych kwasów tłuszczowych, błonnika oraz sodu. Ma też określać sposób obróbki termicznej i alergeny. Szpitalny kotlet nie może już po prostu być – musi mieć metryczkę.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Weryfikacji podlega zgodność tego, co wyjechało z kuchni, z tym, co wcześniej zapisano. Sprawdzana ma być świeżość produktów, temperatura potraw, zapach, wygląd, konsystencja i gramatura składników. A że Rzeczpospolita nie ufa już nawet własnej wadze kuchennej, przynajmniej raz w roku trzeba będzie oddać posiłki do badania w laboratorium akredytowanym przez Polskie Centrum Akredytacji.

Pojawia się również transparentność. Szpitale mają na swoich stronach internetowych tworzyć zakładkę „Żywienie dla zdrowia". Muszą tam publikować stosowane jadłospisy, poza dietami indywidualnie modyfikowanymi i niestandardowymi, ostatni wynik laboratoryjnego badania posiłków oraz materiały edukacyjne. Pacjent ma też otrzymać możliwość anonimowego zgłaszania uwag o jedzeniu. Kiedyś człowiek leżący na internie mógł najwyżej powiedzieć współpacjentowi, że pomidorowa wygląda jak woda po płukaniu garnka. Teraz będzie mógł przekazać tę wiedzę internetowi. Śmieszność tego wszystkiego polega na tym, że

żeby chory dostał normalne jedzenie, potrzebne były pilotaż, ministerialne rozporządzenie, standard organizacyjny, taryfy NFZ, dietetyk, 10-dniowy jadłospis, akredytowane laboratorium, zakładka internetowa i wskaźnik korygujący, a jeszcze niedawno wystarczyłaby dobra kucharka.

Teraz potrzeba sztabu ludzi do ważenia, mierzenia i wklikiwania tego do komputerów – ludzi, którym biedny ponoć system ochrony zdrowia musi przecież płacić.

Resocjalizacja marchewką

Najbardziej radykalna rewolucja talerzowa szykuje się jednak za kratkami. Ministerstwo Sprawiedliwości przygotowało projekt B971, który ma zastąpić rozporządzenie o żywieniu osadzonych obowiązujące od 2016 r. Powód jest banalny: przez 10 lat rosło wszystko poza minimalną stawką wyżywienia więźnia, która wynosi 4 zł dziennie.

Nic zatem dziwnego, że rzecznik praw obywatelskich od dawna dobijał się o zmiany, a pod-

eprasa.pl 8821106aca

w kitlach, warto poznać konsekwencje tych uprawnień.

Politycy doskonale wiedzą, że bez łączenia etatów system ochrony zdrowia rozjedzie się jak pijany na lodzie. Żeby temu zapobiec, wprowadzili do glejtu wentyl bezpieczeństwa. Jeśli w jakimś szpitalu zabraknie obsady do obstawienia dyżurów, szef funduszu będzie mógł przymknąć oko na przepisy i przez okres maksymalnie sześciu miesięcy pozwolić pracować lekarzom ponad limit. Gdzie wady? To od decyzji stołecznego urzędnika będzie zależało, czy dany oddział przetrwa. Zamiast systemowych rozwiązań – np. lepszej wyceny procedur – rząd proponuje arbitra wystawionego na ewentualne pokusy lobbystów. W praktyce może to doprowadzić to faworyzowania większych ośrodków.

Według raportów Związku Powiatów Polskich ok. 91 proc. szpitali powiatowych generuje straty operacyjne. Wiele placówek jest na granicy niewypłacalności.

Jako główną przyczynę dramatycznej sytuacji samorządowcy i eksperci wskazują wadliwy model finansowania przez NFZ. Nie szkodzi, jest na to recepta. Nowe uprawnienia prezesa Funduszu ułatwią ciche wygaszanie problematycznych oddziałów. Nie ma lekarza, nie ma procedury, problem znika.

Bez względu na lokalny opór, o negocjacjach z powiatami nie wspominając. Pacjenci z regionów słabszych demograficznie i komunikacyjnie dostaną solidnie po dupach, a powiaty zapłacą rachunek polityczny i finansowy za decyzje z Warszawy.

Prywata was nie uratuje

Beneficjenci prywatnej opieki medycznej też nie powinni spać spokojnie. Każda kontrola oznacza, że prywatna placówka (albo gabinet) musi poświęcić czas i pieniądze na biurokrację. Nietrudno się domyślić, kto ostatecznie poniesie koszty obciążenia administracyjnego i obsługi prawnej tej imprezy. Ponadto im więcej urzędników ma wgląd w wewnętrzne informacje klinik, tym większa szansa na cyberatak i wyciek danych.

Sektor prywatny obawia się, że patroszenie tajemnic przedsiębiorstw może stać się narzędziem ręcznego sterowania rynkiem medycznym. W kuluarach szepcze się o faworyzowaniu zaprzyjaźnionych z decydentami sieci klinik. Te konkurencyjne mają szansę stać się celem uciążliwych i drobiazgowych kontroli – np. skarbowych czy sanitarnych. Taka forma, powiedzmy, nacisku administracyjnego. Jedna z wielu.

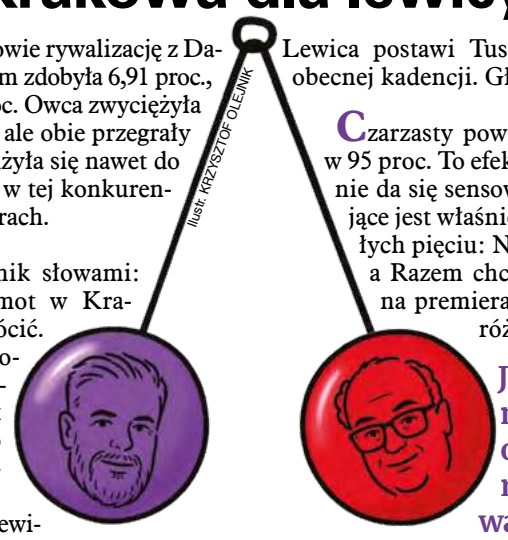
Centralizacja rzadko prowadzi do lepszej alokacji zasobów. Reforma przez narzędzia pośrednie, a nie przez otwarte decyzje polityczne, jest natomiast bardzo dla rządzących wygodna. Przepisy mają być procedowane w trybie pilnym. Rzecznik rządu Adam Szłapka i marszałek sejmu Włodzimierz Czarzasty wskazali, że z uwagi na wagę projektów do ich pełnego uchwalenia może wystarczyć tylko jedno posiedzenie sejmu. Najbliższe planowane jest na początku października.

IDALIA DUBICKA

Najładniejszy mieszczuch w klasie

Co wynika z Krakowa dla lewicy

Aleksandra Owca wygrała w Krakowie rywalizację z Darią Gosek-Popiołek. Kandydatka Razem zdobyła 6,91 proc., kandydatka Nowej Lewicy – 4,81 proc. Owca zwyciężyła w bitwie o lewicowego mieszczucha, ale obie przegrały walkę o prezydenturę: żadna nie zbliżyła się nawet do drugiej tury. Trofeum za zwycięstwo w tej konkurencji to czwarte miejsce w całych wyborach.



Jan Śpiewak podsumował wynik słowami: „Lewica dostaje niestety srogi łomot w Krakowie”. Trudno się z tą oceną kłócić. W krakowskiej pierwszej turze wyborów prezydenckich w 2025 r. Zandberg zdobył 10,64 proc., a Biejat 6,07 proc. Wynik Owcy był o około jedną trzecią niższy, Gosek-Popiołek – o jedną piątą.

Krakowskie wybory pokazują, że lewica nie zdołała zamienić dwóch osobnych kampanii w realną walkę o urząd. Nie wiadomo jednak, czy jedna kandydatka zdobyłaby poparcie obu środowisk: głosy nie przechodzą automatycznie między szyldami, a wybory prezydenta miasta nie są miarą poparcia dla list partyjnych. To sygnał ostrzegawczy dla obu formacji, ale nie dowód na zanik lewicowego elektoratu – ani gotowy argument za wspólną listą, do której wołają niektórzy publicyści (zwykle ci sami).

Stawką nie jest fuzja partii ani wspólny start w Krakowie, lecz ewentualna lista parlamentarna w 2027 r. Na papierze brzmi to rozsądnie: połączyć siły, zebrać więcej głosów i zdobyć więcej mandatów. Tylko że wspólna lista nie powstaje od samego dodawania procentów. Trzeba uzgodnić program, kolejność na listach i odpowiedź na pytanie, co posłowie zrobią po wyborach. Jest też rachunek wyborczy: formalny komitet koalicyjny musi przekroczyć próg 8 proc., a komitet jednej partii – 5 proc. Wspólny start to więc nie tylko szansa na zsumowanie poparcia, lecz także wyższy próg do pokonania.

Zandberg przedstawia samodzielny start jako sposób, by lewica stała się języczkiem u wagi i wyszarpała od Tuska realizację postulatów społecznych. Które postulaty będą warunkiem poparcia, a o których się zapomni – po co teraz męczyć główkę elektoratowi, ale może w kampanii się wyjaśni.

Czarzasty zaś opowiada się za wspólnym startem i wymienia Razem jako partnera, ale mówi o szerokim bloku centrolewicowym. A jakie warunki posteseldowska Nowa Lewica postawi Tuskowi, już mniej więcej wiemy po obecnej kadencji. Główne posady.

Czarzasty powtarza, że z Zandbergiem zgadza się w 95 proc. To efektowna liczba, ale żadnego programu nie da się sensownie zważyć w procentach. Decydujące jest właśnie to, co Czarzasty spycha do pozostałych pięciu: Nowa Lewica współrządzi z Tuskiem, a Razem chce zachować niezależność i naciskać na premiera z własnej pozycji. To nie margines różnicy, tylko sedno sporu.

Jeśli wspólna lista miałaby naprawdę pomóc wyszarpać od Tuska ustępstwa, Czarzasty musiałby zaryzykować swoją pozycję w obozie rządzącym, a nawet limuzynę.

Na razie wspólna lista raczej się więc oddala. Gdyby jednak wróciła na stół, Zandberg i partyjna wierchuszka musieliby przekonać fioletowy aktyw, że po dwóch latach podkreślania odrębności Razem znów powinno iść pod jednym szyldem z Czarzastym. Aktyw co prawda nie takie rzeczy ze smakiem przełknął, problemem jest raczej to, że wspólna lista może wyhodować własnych „zdrajców”: działaczy, którzy uznają, że skoro Razem i tak startuje razem z Nową Lewicą, to lepiej od razu przejść tam, gdzie dają frukta, zamiast wyszarpywać coś dla ludności.

Zamiast więc snuć opowieści o wspólnym starcie można sprawdzić, czy lewica potrafi doprowadzić do końca choć jedną własną sprawę. Darmowe ciepłe posiłki w szkołach wciąż czekają, a prace nad projektem utknęły w sejmowych komisjach. Tomasz Trela mówił, że temat nie jest zamknięty, ale zarzucał projektowi brak wyliczeń i populizm. Jeśli brakuje kosztorysu, trzeba go przygotować, panie Trela.

W Krakowie Owca wygrała bitwę o mieszczucha, a lewica dostała po mordzie. Wspólna lista może najwyżej zagwarantować, że następnym razem przegra pod jednym szyldem. Czarzasty niech odmraża szkolne obiady. Może przynajmniej z tego go zapamiętamy – marszałków było wielu, a ostatnim wartym zapamiętania był chyba Rokossowski.

DAMIAN DUSZCZENKO

czas kontroli Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur zauważano dietę opartą na tanich produktach i wysokoprzetworzonej żywności. W relacjach przewijały się kasza, makaron, soja zamiast mięsa, wodniste zupy, pieczywo z margaryną, mielonka, salceson i marmolada. RPO wskazywał, że surowe warzywa i owoce w diecie podstawowej właściwie nie występują.

Nowe przepisy mają zwiększyć udział białka i obniżyć udział węglowodanów. Białko ma stanowić od 10 do 20 proc. wartości energetycznej diety, węglowodany zaś od 45 do 65 proc. Dzienna ilość warzyw i owoców ma osiągnąć co najmniej 400 g. Ziemniak nie będzie przy tym sposobem na statystyczne wykonanie normy. Ministerialnej marchewki nie da się zastąpić kartoflem.

Reforma będzie kosztować. Podstawowa stawka ma wzrosnąć z 4 do 5 zł, dla małoletnich – z 4,40 do 5,50 zł, przy diecie łatwostrawnej – z 4,80 do 6,10 zł, cukrzycowej – z 5,70 do 6,90 zł, indywidualnej – z 5,80 aż do 7,30 zł. Stawka na posiłek dodatkowy ma zwiększyć się z 3,20 do 4 zł. Ministerstwo szacowało, że jeszcze w 2026 r. podwyżki zwiększą wydatki na więzienne wyżywienie o około 7 mln zł.

W normalnym życiu 5 zł jest dziś kwotą pozwalającą w barze kupić mniej więcej nic. W zakładzie karnym ma być minimalnym kosztem dziennego podstawowego wyżywienia człowieka, w którym należy jeszcze zmieścić zwiększoną porcję białka, 400 gramów owoców i warzyw oraz resztę niezbędnej energii.

Zmienić mają się także diety medyczne. Nazwa „lekkostrawna” ustąpi bardziej współczesnej „łatwostrawnej”, dokładniej mają być opisane zasady żywienia diabetyków, a więzienne regulacje mają mocniej nawiązywać do zaleceń dietetycznych stosowanych w ochronie zdrowia. Najciekawsza zmiana dotyczy jednak relacji medycyny z religią.

Do tej pory prawo do posiłku zgodnego z przekonaniami religijnymi i kulturowymi osadzonego było silnie chronione. Projekt wzmacnia pozycję lekarza. Jeżeli stan zdrowia skazanego wymaga diety leczniczej, to zdrowie ma otrzymać pierwszeństwo nawet wtedy, gdy wskazania medyczne kolidują z preferencją religijną czy kulturową.

I tak oto Rzeczpospolita w 2026 r. przeprowadza wielką reformę narodowego jedzenia. Dziecko ma poznawać strączki i dietę planetarną. Pacjent dostanie posiłek opisany przez dietetyka, zbadany laboratoryjnie i umieszczony w internetowej zakładce. Więzień otrzyma więcej białka, mniej węglowodanów oraz obowiązkowe 400 gramów warzyw i owoców. Każdemu według potrzeb. I rozporządzenia.

TOMASZ BOROWIECKI

Nasza Partia

SŁOWO CZERWONE

RSS – reaktywacja

Z uchwały zjazdu Ruchu Sprawiedliwości Społecznej: „Bierzemy się za ręce, by obalić władzę bogatych nad biednymi. Gdyby dochód narodowy był dzielony sprawiedliwie, żylibyśmy dostatnio i bezpiecznie, ale w tym celu trzeba by doprowadzić do tego, by w ciałach, które dzielą budżet gminy, powiatu, województwa, wreszcie państwa zasiadali przedstawiciele ludzi pracy, a nie tylko pracodawców, ludzi zamożnych. Niestety większość grup zawodowych w Polsce nie jest reprezentowana w ciałach przedstawicielskich. Trudno się więc dziwić, że ich interesy nie są uwzględniane przez aparat władzy. Wprowadzenie sprawiedliwego systemu podziału dochodów wymaga demokracji. Tego by ci przez system pokrzywdzeni przegłosowali tych, którzy korzystają na niesprawiedliwym systemie. Jednak istniejące w Polsce partie polityczne stoją na straży niesprawiedliwego systemu. Stworzenie partii, która się temu przeciwstawi wymaga odwagi i rozumu”. I taką partię tworzymy.

W jedenastoosobowym zarządzie są ludzie doświadczeni przez system. Jest Olek, który przemieszkał 4 lata w furgonetce, w garażu podziemnym supermarketu. On chce pilnować przestrzegania prawa, egzekwowania go od urzędników. Jest Dorota, która samotnie wychowuje dwie małe córeczki, a żyje ze sprzątania klatek schodowych. Uciekła spod Słupska od popegeerowskiej biedy.

Partia wyrasta ze stowarzyszenia Kancelaria Sprawiedliwości Społecznej. Z pomagania ofiarom systemu. Są prawnicy tacy jak Kamil i Michał. Kiedy nie mogłem dotrzeć na dyżur w Kancelarii, by przyjąć chorą na serce panią z Łodzi, Kamil urwał się z pracy i ją przyjął. Jest szybki i skuteczny podobnie jak Michał – znakomity prawnik i radykalny socjalista. Jest też znakomita starsza pani znana powszechnie jako babcia Jola, która siedzi godzinami na słuchawce i wysłuchuje i przyjmuje ludzi proszących o pomoc. Ostatnio byliśmy w Poznaniu, by bronić przed eksmisją samotnej matki z Osiedla Maltańskiego, eksmitowanej przez Kościół na bruk. Policja wynosiła nas z blokady. Było policjantów ponad stu. Szarpali, wynosili, grozili sądem. Nikt nie pękł.

Kancelaria od ponad 20 lat broni ludzi wyrzucanych, licytowanych, pozbawianych wynagrodzenia. Ale ta ciągła szamotanina z siłami zła i bezprawia nam nie wystarcza. Chcemy stworzyć siłę polityczną pokrzywdzonych, zwykłych ludzi. Żeby kiedyś te złe prawa zmieniać. Żeby biednym nie zabierano dzieci, bo stracili dach na głową. I żeby tych dzieci nie odbierano bezdomnym rodzicom. Bo taniej i lepiej jest nie dopuścić, żeby rodzice lądowali na bruku.

My, ludzie Ruchu jesteśmy na każdym strajku. Wspieramy tych odważnych pracowników, którzy mimo antystrajkowego i antyzwiązkowego ustawodawstwa odważyli się przerwać pracę. A teraz wyjdziemy na ulice, żeby zbierać podpisy pod projektem, który daje prawo do strajku. Zrobimy to wspólnie ze związkowcami z Inicjatywy Pracowniczej. Dzięki pomocy ludzi z IP, anarchistycznego związku zawodowego, wyrywamy ludzi z bezdomności i umieszczamy ich na squotach. W budynkach, które squattersi zajmują od lat. I z tych miejsc nasi bezdomni/bezdomne aplikują o pomoc mieszkaniową gmin. Nierzadko z sukcesem.

Na co dzień walczymy o odzyskanie straganów przez polskich i wietnamskich kupców z targowiska na Modlińskiej w Warszawie. Ludzi bitych przy niereagujących gliniarzach przez bojówki czeczeńskich gangsterów. Odbieramy od nieuczciwych firm niewypłacone wynagrodzenia z wyrównaniem do kwot ustawowych.

Oczywiście, że jest przepis, który pracodawcę, który okradł pracownika z pensji, pozwala wsadzić do więzienia. Tylko mimo przepisu to się nie zdarza. Tak jak nie zdarza się, żeby właściciel, który odciął lokatorowi media, trafił za kratki. Dlaczego? Bo brak jest woli politycznej, aby te proludzkie przepisy stosować.

My to zmienimy. Po to założyliśmy partię polityczną.

Będziemy kandydować do samorządu i do sejmu. A naszymi kandydatami będą ludzie pracy. Ci walczący na co dzień przedstawiciele polskiego proletariatu nie będą mieli problemu z nałożeniem wyższych podatków na bogatych.

Z podniesieniem kryterium dochodowego do zasiłków z pomocy społecznej znacznie powyżej obecnych 830 zł.

W Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka mamy prawo do wolności od nędzy – mówi Agata Nosal-Ikonowicz. – Celem naszego ruchu jest dążenie do zmiany, która przywróci elementarną sprawiedliwość społeczną. A ona nie jest możliwa bez zapewnienia realnego poszanowania i przestrzegania praw człowieka. Źródłem tych praw człowieka jest przyrodzona osobie ludzkiej godność. Prawa obywateli podlegają mniejszej ochronie od wolności, co ewidentnie jest konsekwencją liberalnego myślenia.

26 września w siedzibie Związku Zawodowego Metalowców na zjeździe Ruchu Sprawiedliwości Społecznej spotkali się przyjaciele, towarzysze walki i pracy.

PIOTR IKONOWICZ



eprasa.pl 8821106aca

Polowanie na czarownicę

Czy RPD wylała dzieci z kąpielą?

W połowie sierpnia br. Monika Horna-Cieślak, rzeczniczka praw dziecka, podczas spaceru zauważyła kobietę, która szarpała jedno ze swoich dzieci i na nie krzyczała. Urzędniczka miała m.in. wyłapać z monologu krewkiej rodzicielki skierowane do kilkulatka pytanie: „Co ty, kurwa, robisz?”. Kiedy zapytała kobietę, czy może jej w czymś pomóc i dlaczego krzyczy na dziecko, córy Koryntu poleciały również w jej stronę. Z relacji RPD wynika, że matka dzieci gówno sobie zrobiła z jej uwag, dalej była bardzo pobudzona i agresywna wobec smarka. Na dokładkę zadzwoniła do jakiegoś mężczyzny i przełączyła go na głośnik, żeby pomógł spuszczać mało wysublimowaną polszczyzną opierdol na zatroskaną rzeczniczkę.

Pod twoją obronę

Nienawykła do podwórkowej łaciny Horna-Cieślak uznała, że skoro dorośli ludzie zachowują się tak w miejscu publicznym, w czterech ścianach ich domostwa musi być znacznie gorzej. Kiedy matka wraz z potomstwem zaczęła oddalać się w stronę domu, urzędniczka udała się za nimi i nagrała temat policji. Funkcjonariusze ustalili tożsamość kobiety i jeszcze tego samego dnia udali się do mieszkania rodziny, żeby rzucić okiem na warunki, w jakich przebywają bachorzęta.

Według ustaleń Kanału Zero podczas pierwszej kontroli policjanci nie stwierdzili podstaw do interwencji oraz odebrania dzieci nadpobudliwym rodzicom, co potwierdził także kurator sądowy, który odwiedził rodzinę dzień później. Powodów do natychmiastowego umieszczenia dzieci w pieczy zastępczej nie znalazł również sąd rodzinny, chociaż o takiej konieczności dwukrotnie podczas rozmów telefonicznych z sędzią alarmował pracownik Biura Rzecznika Praw Dziecka.

Horna-Cieślak nie dała za wygraną. Udała się na posterunek policji, gdzie doszło do spotkania, w którym (jak podawał portal Zero.pl) oprócz samej rzeczniczki mieli uczestniczyć komendant stołeczny policji Krzysztof Ogroński i policjantka. Po rozmowie funkcjonariuszka policji wydała wobec rodziców nakaz opuszczenia mieszkania i zakaz zbliżania się do dwójki małoletnich dzieci. Ponieważ zaskoczonym obrotem spraw rodzicom nie udało się zabezpieczyć opieki nad rodzeństwem, dzieci trafiły do placówki opiekuńczo-wychowawczej.

Komenda Stołeczna Policji naprostowała nieco przebieg wydarzeń. „Fakt, że na wcześniejszym etapie nie zastosowano określonych środków, nie oznacza, że po uzyskaniu nowych informacji nie należało dokonać ponownej oceny sytuacji” – podkreślono w wydanym oświadczeniu i zaznaczono, że Ogroński wbrew doniesieniom w naradzie z RPD nie uczestniczył.

Na decyzji o przymusowych wakacjach bąbelków w domu dziecka miał zaważyć fakt, że wobec rodziny była prowadzona procedura interdyscyplinarna, Niebieska Karta oraz sprawowany był nad nią nadzór sądowy. Familia była objęta opieką Ośrodka Pomocy Społecznej oraz nadzorem ze strony zespołów interdyscyplinarnych w dwóch dzielnicach, gdzie wcześniej zamieszkiwała (o czym Zero.pl początkowo nie wspomniało).

KSP wyjaśniła, że policja nie decyduje o umieszczeniu dzieci w placówkach opiekuńczych, a jedynie zabezpiecza je w sytuacjach kryzysowych, pozostawiając dalsze decyzje o ich losie i władzy rodzicielskiej w kompetencji sądu. Tak też się stało. Sąd rodzinny uznał, że działania Hornej-Cieślak „mogą nosić wyraźne znamiona przemocy instytucjonalnej, a machina państwowa i urzędowa została uruchomiona w sposób rażąco nieproporcjonalny do zaistniałego zdarzenia”. Zdaniem sądu punktem wyjścia było co najwyżej szarpnięcie dziecka przez matkę po tym, jak wybiegło na jezdnię – i wulgaryzmy wobec RPD. Dzieci rodzicom zwrócono. Wybiło medialne szambo.

Zamęty i odmęty

W wywiadzie dla medium Krzysztofa Stanowskiego rodzice wyznali, że na okoliczność zainteresowania służb (ponoć) została im wypowiedziana umowa najmu mieszkania, wskutek czego matka wraz z przychówkiem chwilowo przebywa w ośrodku interwencji kryzysowej, a jej partner u rodziny. Kanał Zero natychmiast zobligował się do wynajęcia pokrzywdzonym przez aparat państwowy nowego lokalu.

Matka dzieci przyznała, że Niebieska Karta faktycznie została założona „chyba dwa lata temu”, kiedy wraz z dziećmi mieszkała z babcią i bratem. „Opieka podklepywała przemoc pod warunki mieszkaniowe”, bo były zbyt



Ilustr. PAWEŁ FERENC

złe, żeby dzieci się tam prawidłowo rozwijały. Sędzia postawił warunek: że dzieci zostaną pod opieką matki, ale muszą zmienić miejsce zamieszkania, bo „inaczej to nie przejdzie”.

Ciekawa sprawa. Jedyną i ustawową przesłanką do wszczęcia procedury Niebieskiej Karty jest uzasadnione podejrzenie stosowania przemocy domowej. Trudne warunki bytowe, w tym bieda i zaniedbania techniczne lokalu, same w sobie takowej nie stanowią. Za przemoc uznaje się m.in.: brak leczenia, higieny, czystej odzieży, odpowiedniego jedzenia czy ignorowanie potrzeb rozwojowych dziecka. Innymi słowy: zaniedbanie dziecka zakwalifikowane jako przemoc przez zaniechanie.

Pech chodzi po ludziach. Rodzinie przytrafiła się więc niesłuszna Niebieska Karta i pochopny nadzór kuratorski, czyli niezasłużone ograniczenie władzy rodzicielskiej. Mimo to kobieta karnie współpracowała z opieką społeczną i przydzielonym asystentem rodziny, a wkrótce zamieszkała z partnerem w innym lokalu.

Matka wyjaśniła, że feralnego dnia czteroletni syn wbiegł na jezdnię, a kiedy nie reagował na jej przywołania wciągnęła go na chodnik i udzieliła reprymendy. Zaprzeczyła szarpaniu synem oraz że rzucała kurwami w stronę dziecka – te miały trafiać jedynie do nadgorliwej pani rzecznik.

Partner kobiety i ojciec młodszego dziecka opowiedział, że podczas jednej z kontroli po zdarzeniu policja miała przyprowadzić do mieszkania burka, który szukał narkotyków. Pies niczego nie wyniuchał, ale policja znalazła w lodówce dwie flaszki piwa. Incydent alkoholowy znalazł się w raporcie, wyśmiał go sąd. Fakt, że głowa rodziny przed kilku laty odbyła wyrok za rozbój, sądu nie zaniepokoił.

„Ja miałbym wielkie życzenie, żeby może na gruncie tej sprawy (…) przetoczyła się dyskusja o procedurze Niebieskiej Karty – bo to już samo w sobie czasami bywa patologią – która jest stosowana instrumentalnie, żeby komuś zaszkodzić” – oświadczył w Kanale Zero adwokat Tomasz Gołembiewski.

„Dlaczego tak wielu bezdzietnych obchodzą cudze dzieci? To podejrzane” – zastanawiał się na X Jacek Karnowski. „Ta wiedźma doprowadziła do zabrania dzieci w wieku 3 i 4 lat do domu dziecka, tylko dlatego, że została słusznie zwyzywana przez ich matkę. (…) Takich ludzi jak Horna-Cieślak należy trzymać w więzieniach, czy innych ośrodkach odosobnienia, a nie w urzędzie” – spienił się Sławomir Mentzen. „Bezczelny babsztyl od Tuska (…) za szarpnięcie przez matkę dziecka, które wbiegało na ulicę, doprowadził do odebrania dwójki dzieci. Sąd ją zmiażdżył. To jest przemoc instytucjonalna” – piał na X Waldemar Buda i zapowiedział wniosek o jej odwołanie.

Ciekawe, bo Monika Horna-Cieślak w latach 2016–2023 współpracowała z podległym Zbigniewowi Ziobrze Instytutem Wymiaru Sprawiedliwości. Pierwszą umowę podpisał z nią męczennik prawicy Marcin Romanowski. Współtworzyła przyjętą za rządów Zjednoczonej Prawicy ustawę „lex Kamilek”.

Prawa strona najwyraźniej o tym zapomniała, a Koalicja Obywatelska fakt ten przemilczała, rekomendując Hornę-Cieślak na stanowisko RPD.

Minister sprawiedliwości Waldemar Żurek zapowiedział, że zbada, czy nie doszło do przekroczenia uprawnień przez rzeczniczkę. „A jeżeli do tego doszło, to moim zdaniem zdecydują ci, którzy panią rzecznik powołali, dlatego że ja nie mam w swojej władzy powoływania rzecznika” – podkreślił.

Białe i czarne

Pani rzecznik – krótko mówiąc – stała się niewygodna. Co gorsza i tak nie miała zbyt dobrego piaru.

W czerwcu br. TVN24 pokazał reportaż na temat sytuacji w Biurze Rzecznika Praw Dziecka pod kierownictwem Moniki Hornej-Cieślak, w którym byli i obecni pracownicy oskarżyli kierownictwo o ciężkiego kalibru mobbing. Państwowa Inspekcja Pracy potwierdziła podczas kontroli nieprawidłowości dotyczące m.in. czasu pracy w urzędzie.

Sprawa odbiła się na tyle szerokim echem, że w sejmie zwołano pilne posiedzenie dwóch komisji. Podczas połączonej nasiadówki komisji dzieci i młodzieży oraz polityki społecznej i rodziny poseł Marcin Józefaciuk z KO poddał pod głosowanie wniosek o niedyskutowanie w tej sprawie, poparli go posłowie PiS i wniosek przegłosowano. Temat umarł śmiercią naturalną.

O uporczywym łamaniu prawa do informacji przez Biuro RPD pod nowym kierownictwem alarmowała podczas sejmowych wystąpień działaczka społeczna oraz ekspertka ds. jawności życia publicznego Alina Czyżewska. Biuro miało notorycznie i bezprawnie odmawiać udzielania informacji obywatelom i osobom zgłaszającym sprawy o tym, jakie stanowisko zajął urząd i jakie podjął działania. Wszyscy mieli to w dupie.

Czyżewska zwracała też wcześniej uwagę, że proces wyboru nowej RPD po Mikołaju Pawlaku był pospieszny, zakulisowy i chaotyczny.

Faktycznie, wybór został przeprowadzony w ekspresowym tempie zaledwie dwóch tygodni od ogłoszenia procedury przez marszałka sejmu, choć formalnie posłowie mieli na to miesiąc. Szybkie tempo i wyłonienie jednej wspólnej kandydatki wynikały z chęci wykurwienia w trybie pilnym poprzedniego rzecznika, namaszczonego przez ultraprawicę Mikołaja Pawlaka. Jako potencjalnych społecznych kandydatów popieranych przez różne organizacje pozarządowe wymieniano tu i tam m.in. Konrada Ciesiołkiewicza oraz prof. Marka Konopczyńskiego, ale kandydatury przeszły bez echa. Jak wyłoniono obecną RPD? Nie wyjaśniono.

Rzeczniczka odrzuca oskarżenia o nadużycie władzy czy osobistą zemstę, twierdząc, że działała w stanie wyższej konieczności ratowania dzieci podczas sierpniowej interwencji w Warszawie. Deklaruje pełną otwartość na współpracę i chęć jak najszybszego złożenia obszernych zeznań, aby wykazać, że jej działania były w pełni legalne i uzasadnione.

Czy Monika Horna-Cieślak popełniła błąd, reagując na sytuację? Nie. Czy przegięła pałę w swej zapalczywości? Są ku temu przesłanki i musi to zostać wyjaśnione. Spór o granicę interwencji jest zasadny, niemniej to ustawa „lex Kamilek” wprowadziła kwestionariusz oceny ryzyka przemocy wobec dzieci, na który powołały się w sprawie policja i RPD. Patron ustawy dzięki rodzicom i wskutek braku reakcji instytucji państwowych spoczywa na cmentarzu. Proporcjonalność podejmowanych interwencji jest istotna; zakatowania dziecka na śmierć odwrócić się nie da. Cały burdel z pewnością rykoszetem uderza w kwestie ochrony dzieci i reagowanie na przemoc. To fatalna wiadomość.

Po śmierci Kamilka z Częstochowy przy Ministerstwie Sprawiedliwości powołano dwa zespoły do walki z przemocą domową. Jeden z nich – do spraw analizy zdarzeń, na skutek których małoletni poniósł śmierć lub doznał ciężkiego uszczerbku na zdrowiu – w ciągu 18 miesięcy pracy otrzymał od policji i prokuratury informacje o śmierci 70 dzieci, które zginęły z rąk rodziców i opiekunów.

IDALIA DUBICKA

MÓŻDŻEK TYGODNIA


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– No i co teraz ze mną będzie? – rozpaczliwie zapytał poseł Michał Moskal. Miał twarz utalentowanego aktora grającego w filmach dla dorosłych gejów. Z powodzeniem mógłby wcielać się w stronę bierną, jednak niestety dla branży porno został politykiem.

Premier (no…) Przemysław Czarnek wzruszył ramionami. Dbając o to, żeby przypadkiem nie otrzeć się o Moskala, odparł ze słabo ukrywaną pogardą w głosie: – Mógłbyś wybrać drogę emigracji… Póki ci Żurek nie zablokował paszportu…

– Jak to paszportu? Jak to drogę emigracji? Przecież ja nawet nie umiem po amerykańsku – jęknął Moskal. – Ani po naddniestrzańsku.

Czarnek chciał odpowiedzieć, że korupcja nie ma narodowości, lecz litościwie się powstrzymał. Zamiast tego rzekł: – No to nie pozostaje ci nic innego jak tylko czekać na zmianę władzy.

– Ale co mam robić, żeby wyborcy mnie nie zapomnieli?

Premier (no…) pomyślał, że jego młodszy partyjny kolega – przynajmniej do niedawna kolega – ma w sobie jednak niezniszczalne pokłady idealizmu.

– Chłopie, ty się nie przejmuj wyborcami, tylko módl się o to, żeby prezes zapomniał ci winy.

Moskal powinien ostro odpowiedzieć, że przecież wszystko, co do tej pory robił, robił za wiedzą i zgodą prezesa, lecz jedynie smutno pokiwał głową.

Minimalnym ruchem ręki Czarnek dał znak, że czas posłuchania się skończył. Zwłaszcza że do pokoju wszedł bez pukania poseł Jacek Sasin. Obrzucił Moskala spojrzeniem pełnym odrazy, ni słowem nie odpowiadając na jego służalczy pokłon. Jednak zatrzymał się i przymknął oczy, jak gdyby szukał czegoś w pamięci.

– Miałbym robotę dla ciebie – skrzywił usta w czymś, co miało być uśmiechem.

Przez kilka chwil szukał w portfelu wizytówki.

– Tu masz namiar na reżysera filmów dla dorosłych – rzekł. – Zadzwoń, a nuż ci się spodoba…

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI



eprasa.pl 8821106aca



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Wiwisekcja Mentzena i Bosaka

Wróg u bram

Jak się nie obrócisz, dupa z tyłu – wiedzą o tym nie tylko fizjolodzy. Jak by nie czytać sondaży, nie da się po przyszłorocznych wyborach do sejmu ułożyć koalicji bez Konfederacji (lub jej części) – wiedzą o tym nie tylko politolodzy. Z radością więc powitałam pracę zbiorową pod redakcją dr. Michała Siermińskiego „Wywrócić stolik. Myśl polityczna Konfederacji Wolność i Niepodległość", która nieco rozjaśnia, jak mogą owe przyszłe rządy z Mentzenem i/lub Bosakiem wyglądać.

Będzie w chuj ciężko, ale – jak mawiał Bogusław Wołoszański w „Sensacjach XX wieku" – nie uprzedzajmy faktów. Dr Siermiński, akademik z PAN i Instytutu Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza (skądinąd wydawcy książki), to znany stołeczny lewak związany ze środowiskiem polskiej edycji czasopisma „Le Monde diplomatique". Zebrał on grono autorów, którzy mieli odwagę spojrzeć w piekielną otchłań, jaką są poglądy ludzi Nowej Nadziei (NN) i Ruchu Narodowego (RN), próbując rozbić ją na części pierwsze, ukazać w szerszej perspektywie. Uważam, że autorzy poszczególnych rozdziałów powinni otrzymać dodatkowe wynagrodzenie za pracę w szkodliwych warunkach, bo obcowanie z wytworami umysłowymi – np. z rozlicznymi deklaracjami programowymi czy wpisami w mediach społecznościowych – może doszczętnie zryć beret i wyprostować fałdy mózgowe.

Jak ujmuje to we wstępie Siermiński, „stawką tej książki jest zrozumienie, czym jest Konfederacja, skąd bierze się jej polityczna skuteczność i jakie konsekwencje może mieć jej dalsza obecność wśród głównych sił polskiej polityki". Parafrazując zatem tytuł pewnego serialu, jest to stawka większa niż demokracja.

A teraz nieco przybliżę najciekawsze wątki książki.

Taktyczna koalicja

Prof. Uniwersytetu Wrocławskiego Anna Pacześniak trafnie zauważa, że Konfederacja Wolność i Niepodległość jest jedyną w Polsce partią federacyjną. Zwraca uwagę, że „do Konfederacji nie można się zapisać, ale dwa tworzące ją ugrupowania – Ruch Narodowy i Nowa Nadzieja – systematycznie rozbudowują bazę członkowską, balansując między aspiracjami a obawą przed infiltracją swoich szeregów. Choć szorstką przyjaźń tych ugrupowań zabezpieczają mechanizmy zaszyte w dokumentach statutowych, to sporo energii wewnątrz partii jest angażowanej w łagodzenie sporów personalnych o charakterze ambicjonalnym i równoważenie wpływów obu ugrupowań".

Nie jest bynajmniej przypadkiem, że Trzaskowski i Sikorski poszli w trakcie kampanii prezydenckiej na piwo z Mentzenem, a pisowcy generalnie unikają atakowania Bosaka.

Doskonale można sobie wyobrazić koalicyjny rząd Koalicji Obywatelskiej i NN, ale Tusk nie zaprosi do tanga narodowców. Kaczyński chętnie dogadałby się z Bosakiem, ale już jego mariaż z Mentzenem jawi się jako zgoła fantastyczny, choć nie takie rzeczy widziała polska polityka.

Konfie rośnie, z pewnością do wyborów pójdą razem NN i RN, ale już na etapie układania list i kampanii będą pewnie ostre tarcia. Każda z dwóch partii będzie starała się zdobyć jak najwięcej mandatów poselskich, wiedząc, że władza jest wręcz na wyciągnięcie ręki…

Ani Bosakowi, ani Mentzenowi nie zależy na przyjmowaniu rzeszy nowych członków. Nie jest łatwo wstąpić w szeregi ich partii. I tak każdy członek NN musi choćby pamiętać, iż „działalność w partii to zaszczyt; to więcej niż praca – to bycie częścią epokowej zmiany". Musi też doceniać fakt, że „mieliśmy szczęście znaleźć się w odpowiednim miejscu i czasie, i mamy szansę na zrobienie czegoś wielkiego". Swoje życie powinien on podporządkować celowi, jakim jest „wizja silnej, dumnej i bogatej Polski".

W sumie NN jest niczym rodzina: „w dobrze działającej organizacji nie ma miejsca na brak szczerości", „każdy członek ma prawo i obowiązek otwartego wyrażania swojego zdania czy zgłaszania uwag i sugestii", lecz – w końcu brudy pierzemy we własnym domu – „nie rozwiązujemy swoich problemów przez wynoszenie ich na zewnątrz, w szczególności nie przenosimy dyskusji do przestrzeni publicznej".

Jak podsumowuje prof. Pacześniak, „Konfederacja Wolność i Niepodległość nie ma aspiracji do bycia partią masową, co jest widoczne na poziomie nie tylko członkostwa, ale także kultury organizacyjnej ugrupowania. Z jednej strony jej pomysłodawcy i aktualni liderzy są zakładnikami dotychczasowych doświadczeń środowisk skrajnie prawicowych, które zrodziły w nich obawy o potencjalną infiltrację struktur przez osoby niepożądane i związaną z tym potrzebę kontroli. Do partii mają należeć tylko osoby najbardziej zaufane, zdeterminowane, lojalne. Z drugiej strony przy strukturze, która ma koordynować współpracę kilku nurtów ideowych, dbać o równowagę między nimi i dynamicznie reagować na systematycznie powracające ryzyko rozłamu".

Lepiszczem Konfy są pieniądze i zdobyte mandaty w parlamencie.

Przyjaciele i wrogowie

Dr Anna Szwed-Walczak z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie pokazuje, kim są sojusznicy Konfy. W mediach społecznościowych tak widzą to sami zainteresowani: „Nasza koalicja odpowiada na apele o zjednoczenie sił antyunijnych i jest otwarta na innych partnerów. Chcemy współpracy ze środowiskiem o zbliżonych do nas poglądach na Unię Europejską i niepodległość Rzeczypospolitej. Naszym celem jest bezkompromisowa obrona naszej Ojczyzny przed brukselskim centralizmem, lewicowymi tendencjami wspieranymi przez UE, zagranicznymi naciskami oraz reprezentowanie polskiego interesu narodowego na forum Parlamentu Europejskiego"…

W skrócie: sojusznikami Bosaka i Mentzena są wszyscy, którzy są „normalni". Reprezentują zdrowe jądro – aczkolwiek przydałyby się i zdrowe macice do rodzenia małych Polaków! – narodu, są wolnościowcami (tj. chcą, by im było wolno robić, co chcą) i narodowcami. Nie wierzą w zmiany klimatyczne i nie znoszą uchodźców.

Jak zaznacza Szwed-Walczak, „kolejnymi kategoriami budującymi obraz sojusznika Konfederacji były antysystemowość oraz antyestablishmentowość. Antysystemowość partii federacyjnej przejawiała się w krytyce: 1) ładu politycznego zainicjowanego w czasie obrad okrągłego stołu w 1989 r. – określonego w dyskursie partii »systemem III RP«, 2) obecnego funkcjonowania państwa – nadmiernej biurokracji, fiskalizmu, ograniczania praw i wolności obywateli".

Od sojusznika ważniejsza jest jednak – co wiemy od teoretyka polityki i „czołowego jurysty Trzeciej Rzeczy" Carla Schmitta – kategoria wroga politycznego, którą opisuje prof. Agnieszka Kasińska-Metryka z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. Badaczka przywołuje niesławną „piątkę Mentzena" z 2019 r.: „My robimy te badania, te grupy fokusowe, śledzimy, jaki przekaz trafia do wyborców. Wiemy, co mówić, żeby wyborcy nas słuchali. Korzystamy z danych, to jest podejście naukowe. I w sposób naukowy wyszło nam pięć postulatów. Nazwałem je »piątką Konfederacji« i ogłaszam ją światu po raz pierwszy. Nie chcemy Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej".

Wydaje się zatem, że na szczycie osób do hejtowania jest żydowska lesbijka, która wyskrobała płód i w ramach pracy w instytucjach unijnych tłamsi podatkami polskiego przedsiębiorcę. Nie jest łatwo spełnić wszystkie te kryteria naraz, więc poręczniej jest nienawidzić imigrantów, o czym świadczą zebrane przez prof. Kasińską-Metrykę hasła z mediów społecznościowych Konfy: „nie chcemy powtórki z miast, gdzie powstają strefy »no–go«, a kobiety boją się wracać same do domu we własnym kraju"; „nie chcemy, by nasze dzieci dorastały w miejscach, gdzie niezidentyfikowani przybysze z obcych państw czują się bezkarni".

Jak dla mnie, brak tylko jeszcze uwagi, że „obcy" przerabiają krew niemowląt chrześcijańskich na macę, a może raczej falafel.

Fundamentalizm rynkowy

Rozdziały dotyczące konkretnych polityk publicznych w oczach konfiarzy napawają lękiem. Pozostaje mieć nadzieję, że ktokolwiek będzie współrządził z Bosakiem i/lub Mentzenem, nie pozwoli, aby rozpierdolić doszczętnie służbę zdrowia czy edukację.

Co do mieszkalnictwa – tu jest i tak takie dno, że wolnorynkowe szaleństwa trudno byłoby pogłębić, a realną nadzieją dla młodych jest rychła śmierć dziadków czy rodziców…

Program w sferze edukacji analizuje – z życzliwym uporem – stołeczny nauczyciel Jarosław Pytlak. Panaceum na bolączki szkół Konfa upatruje w bonie opiekuńczo-wychowawczym, który byłby „przypadającą na ucznia częścią subwencji oświatowej, przekazywaną do wybranej przez rodziców placówki, niezależnie od jej statusu (państwowego czy prywatnego), a także od formy spełniania obowiązku szkolnego (nauczania stacjonarnego czy domowego)".

Faktyczna rezygnacja państwa z powszechnej publicznej oświaty byłaby czymś bez precedensu w dziejach kraju po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. Pytlak przytomnie pisze: „Łatwiej widzieć w jasnych barwach działalność ekonomiczną i edukacyjną części placówek, dużo trudniej los tych, które miałyby przegrać w rynkowej konkurencji. W istocie bowiem likwidacja szkoły nie będzie problemem wyłącznie pechowych rodziców, którzy jej zawierzyli z wyboru (albo nie mając innej możliwości), ale realnym obciążeniem dla władz, najprawdopodobniej samorządowych".

Rodzi się też oczywiste pytanie, jak ów bon zrównoważy problem uczenia dzieci z orzeczeniami o niepełnosprawności czy z małych gmin wiejskich. No i skoro szkoły brakującą kasę mają sobie same zdobywać, co je może powstrzymać od innowacyjności i przedsiębiorczości w postaci wynajmowania niektórych pomieszczeń na burdel na godziny?

Dziennikarki serwisu internetowego Rynek Zdrowia, Emilia Grzela i Klara Klinger, swój rozdział zatytułowały dramatycznie: „Rozmontować NFZ. Program Konfederacji a ryzyko nierówności zdrowotnych". Nie bez racji, bo – o czym skądinąd nie raz trafnie mówił Kaczyński – wdrożenie jej programu oznaczałoby faktyczną likwidację publicznej służby zdrowia, co uczyniłoby nasz kraj ewenementem Zachodu, porównywalnym tylko z USA.

Choć Konfa lubi siebie prezentować jako wroga głównego nurtu polityki, to w sferze opieki zdrowotnej powtarza te same brednie co PiS i PO – a mianowicie, że gdy ukróci się marnotrawstwo, ten sektor będzie kwitł ku radości całego społeczeństwa. Żeby było śmieszniej, wskazuje na sukces systemu niemieckiego, choć tam nakłady publiczne na ochronę zdrowia są praktycznie dwa razy wyższe niż w Polsce. Bez dosypania grosza się nie obędzie, jeśli chcemy lepszej ochrony zdrowia, ale konfiarze przeczą tej oczywistości.

Grzela i Klinger roznoszą w puch pomysł bonu zdrowotnego. Bo będzie on premiował młodych i zdrowych, a sekował przewlekle chorych. No i podmioty rynkowe spijałyby śmietankę, spychając kosztownych i biednych pacjentów do piekła coraz bardziej niewydolnych, przeciążonych i niedofinansowanych publicznych placówek medycznych. Jasne jest, że nie obyłoby się bez prywatyzacji i większego płacenia z własnej kieszeni.

Mimo wszystko książka „Wywrócić stolik" daje pewną nadzieję – a mianowicie, że przebierając nóżkami do władzy, konfiarze wywrócą się o te przebierające nóżki i żadnych większych zmian nie wprowadzą. Będzie zatem nadal chujowo, ale stabilnie. Kolejny raz nadzieja w polskim bajzlu i nieudolności…

KATARZYNA KOENIG

Koreańskie zakupy

Czołgi zamiast obiadów

W numerze 15 tygodnika „NIE" z tego roku opublikowaliśmy informację o poufnej wycieczce do Korei Południowej w okolicach Wielkanocy jednego z najwyższych rangą polskich trepów generała Marka Sokołowskiego. Ten aktualny dowódca generalny rodzajów Sił Zbrojnych RP poleciał do zamerykanizowanych Azjatów dopilnować kolejnych zakupów najnowocześniejszych zabawek do zabijania. Sugerowaliśmy, że chodzi o cenione przez trepowisko czołgi K2. I mieliśmy rację.

Oto Władysław Kosianiak-Kamysz, szef MON, potwierdził niedawno, że Polska armia, a konkretnie 16. Pomorska Dywizja Zmechanizowana dostała w prezencie na koszt polskiego podatnika 18 czołgów K2 Black Panther.

Jak zapowiedział na Iksie minister obrony, to dopiero początek i nie zwalniamy tempa. W następnych razach zarobią na czołgach nie tylko Koreańczycy, ale również Zakłady Mechaniczne Bumar-Łabędy w Gliwicach, gdyż pójdą z nimi w koprodukcję. Póki co jednak to tamci zainkasowali za te kilkanaście sztuk przyszłego złomu kwotę 1,33 mld zł w przeliczeniu na dolary.

Za te pieniądze Nowacka mogłaby zapewnić jednej trzeciej dzieciaków we wszystkich polskich szkołach darmowe obiady przez cały rok szkolny.

JMP


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 8821106aca

Fort Xi

Zebrało mi się na bajkę



ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wyobraź sobie, że w Polsce naprawdę upadł duopol, który kiedyś nazywał się PO–PiS. Na prawym marginesie dogorywa kapitalistyczna, nacjonalistyczna konserwa; na lewym – kapitalistyczna, libko-liberalna hewra, przekonana, że pieniądz ma poglądy i rację. A na głównej scenie politycznej, dzięki zwycięstwu czegoś tak egzotycznego jak prawdziwa demokracja, panuje nastrój obywatelski, solidarnościowy, racjonalny i progresywny. Po ludzku: prospołeczny.

Nowa władza rozumie interes swojej społeczności i nie myli go z interesem ambasady USA, funduszu inwestycyjnego ani firmy, która akurat kupiła sobie polityków. Rozumie też geopolitykę. Patrzy na świat trzeźwo, czyli bez tej przyjemnej zasłonki, za którą Zachód od 30 lat udawał, że rządzi nim wolny rynek, a nie lotniskowce, patenty i cudza ropa.

I oto któregoś dnia dowiadujesz się z ulubionych, nareszcie względnie obiektywnych mediów, że w okolicy Kozienic powstanie „Fort Xi” – baza wojskowa Chińskiej Armii Ludowej. Jak to?! To już nie Fort Trump, tylko Chińczycy?

Słuchasz dalej, a nowy premier leci z takim tekstem:

„Panie Marszałku, Wysoka Izbo, Obywatelki i Obywatele!

Decyzja o utworzeniu w Polsce bazy »Fort Xi« nie jest wyborem nowego patrona ani zwrotem przeciwko któremukolwiek z naszych partnerów. Jest decyzją o odzyskaniu zdolności samodzielnego kształtowania bezpieczeństwa Polski i Europy. W świecie, który radykalnie się zmienił, bezpieczeństwo nie może opierać się na zależności od jednego państwa, jednej technologii, jednego kierunku dostaw ani jednej wizji porządku międzynarodowego.

Obserwujemy dziś strukturalne zderzenie Stanów Zjednoczonych i Chin. Stany Zjednoczone odchodzą od zasad, które przez dekady przedstawiały jako uniwersalne: stosują cła, ograniczenia technologiczne i państwową politykę przemysłową. Chiny równocześnie rozwijają produkcję zaawansowanych technologii, energetykę odnawialną oraz relacje gospodarcze z państwami Globalnego Południa. Nie oznacza to, że powinniśmy idealizować Pekin. Oznacza, że nie możemy ignorować faktów ani budować polityki na założeniu, że świat pozostanie jednobiegunowy.

Dzisiejszy świat przeżywa trzy rewolucje, które rozstrzygną naszą przyszłość. Pierwsza jest rewolucją klimatyczną: susze, degradacja środowiska, niestabilność produkcji żywności i rosnące koszty życia nie są już prognozą, lecz codziennością. Druga to rewolucja energetyczna i surowcowa. Przyszłość przemysłu zależy od dostępu do litu, metali ziem rzadkich, akumulatorów, sieci energetycznych i technologii cyfrowych. Trzecia rewolucja to rewolucja kognitywna: sztuczna inteligencja i media społecznościowe zmieniają gospodarkę, naukę, pracę i politykę państw.

W tej ostatniej dziedzinie Europa nie może stać się jedynie rynkiem zbytu dla technologii kontrolowanych przez amerykańskie korporacje i ich zaplecze państwowe. Dane obywateli, infrastruktura obliczeniowa, algorytmy i zdolność do prowadzenia własnych badań są dziś częścią suwerenności. Partnerstwo gospodarcze z Chinami ma służyć budowie polskich i europejskich kompetencji: produkcji, przetwarzaniu strategicznych surowców, technologii energetycznych i publicznej infrastruktury cyfrowej. Nie będzie to wymiana bezpieczeństwa na zależność gospodarczą. Wszystkie umowy będą jawne, oparte na wzajemności, z transferem technologii, udziałem polskich przedsiębiorstw oraz kontrolą państwa nad strategiczną infrastrukturą.

Ład zachodni, w którym Stany Zjednoczone pełniły funkcję jedynego światowego arbitra, przestał istnieć. Powstaje świat wielobiegunowy, w którym rośnie znaczenie Chin, Indii, państw BRICS+, Szanghajskiej Organizacji Współpracy i szeroko rozumianego Globalnego Południa. Europa nie może odpowiadać na tę zmianę izolacją ani sentymentem. Musi rozwijać relacje z Wielką Brytanią, Kanadą i państwami skandynawskimi, ale również z Indiami i Chinami. Geopolityczna elastyczność nie jest zdradą sojuszy. Jest warunkiem, aby sojusze były partnerskie, a nie jednostronne.

Dzisiejsze bezpieczeństwo jest szersze niż obrona wojskowa. Obejmuje energię, żywność, klimat, cyberprzestrzeń, ochronę zdrowia, mieszkalnictwo i odporność społeczną. Państwo, które nie chroni obywateli przed ubóstwem energetycznym, cyfrową zależnością i utratą miejsc pracy, nie zapewni im bezpieczeństwa nawet wtedy, gdy postawi na swoim terytorium tysiąc czołgów. Dlatego wraca rola państwa demokratycznego, zdolnego planować, inwestować i chronić dobro wspólne przed interesem prywatnych monopoli.

Nie mamy złudzeń co do polityki Chin wobec Rosji. Pekin nie dąży do szybkiego zakończenia wojny, ponieważ osłabienie Rosji i Zachodu bywa dla niego korzystne. Jednocześnie ma wobec Moskwy realne narzędzia nacisku i interes w niedopuszczeniu do użycia broni atomowej. Polska i Europa nie powinny opierać swojej polityki na zaufaniu do intencji mocarstw. Powinny umieć wykorzystywać ich rozbieżne interesy, aby zmniejszać ryzyko eskalacji, chronić własne społeczeństwa i budować własny sprawiedliwy dobrobyt.

Z tych powodów »Fort Xi« będzie projektem ściśle obronnym, ograniczonym i poddanym pełnej kontroli demokratycznej. Jego podstawą będzie traktat ratyfikowany przez parlament. Na terenie bazy nie będzie broni jądrowej ani prawa do prowadzenia operacji zaczepnych. Nie powstanie tam eksterytorialna enklawa wyjęta spod polskiego prawa. Dowodzenie, inspekcje, budżet i zakres działalności będą jawne; Polska zachowa prawo do kontroli, wypowiedzenia umowy i wstrzymania każdej aktywności sprzecznej z naszym interesem. Samorządy oraz społeczności lokalne będą miały zagwarantowany udział w nadzorze nad jej funkcjonowaniem.

Czy baza chińska zwiększa bezpieczeństwo obywateli bardziej niż baza amerykańska? Tak, ponieważ nie opiera bezpieczeństwa Polski na przekonaniu, że jedno mocarstwo będzie zawsze stabilne, przewidywalne i gotowe ponosić ryzyko w naszym imieniu.

W porządku wielobiegunowym państwo, którego integralność i stabilność leży w interesie więcej niż jednego ośrodka siły, trudniej podporządkować presji lub uczynić polem cudzej wojny. Nie jest to wiara w moralną wyższość chińskiego munduru nad amerykańskim. Jest to polityka równowagi, wzajemnego ograniczania ryzyka i odmowy traktowania Polski jako peryferyjnego przedpola. Pozwoli na rozwijanie współpracy technologicznej i gospodarczej z Chinami.

Nie budujemy »Fortu Xi« przeciwko Stanom Zjednoczonym. Budujemy go przeciwko zależności – od każdego państwa, każdej korporacji i każdej doktryny, która wymaga od Polski posłuszeństwa w zamian za obietnicę bezpieczeństwa. Prawdziwe bezpieczeństwo zaczyna się wtedy, gdy naród ma własny przemysł, własne instytucje, własną politykę społeczną i prawo powiedzieć każdemu mocarstwu: współpracujemy, ale o naszym kraju decydujemy sami”…

Mowa skończona. W studiu zapadłaby zapewne ta chwila ciszy, w której dziennikarz bardzo chciałby zapytać, czy premier nie wie, że Chiny są autorytarne, tylko nie może tego zrobić bez przypomnienia sobie, jak długo nazywał „światem wolnym” monarchie naftowe, obozy tortur i każde państwo, które kupowało amerykańską broń w promocji.

Nie mam na biurku portretu Xi Jinpinga. Nie mam też portretu żadnego prezydenta USA. I nie proponuję, żeby Polskę zabezpieczać przez wymianę jednego właściciela na drugiego, jakby chodziło o dostawcę internetu.

„Fort Xi” jest eksperymentem myślowym, choć zapewne boleśnie skutecznym. Pokazuje, jak bez wysiłku uznajemy cudzą amerykańską bazę za „obronę”, a samą myśl o chińskiej za atak na cywilizację. Dlaczego? Czy dlatego, że jedno mocarstwo jest niewinne, a drugie groźne? Czy może dlatego, że do pierwszego przywykliśmy jak do grzyba w piwnicy?

Najbezpieczniejsza Polska nie leży pod cudzą bazą. Leży poza cudzą strefą wpływów. Ale dopóki „Fort Xi” przeraża nas bardziej, niż „Fort Trump” potrafi uspokoić, dopóty nie mieszkamy w sojuszu. Stoimy na parkingu imperium.

ANNA GRODZKA

Pomarańczowy agent w

Czy człowiek Trumpa ukradł kolumbijską prezydenturę?

W maju odbyła się w Kolumbii pierwsza tura wyborów prezydenckich. Ich wynik zaskoczył obserwatorów. Niespodziewanie na prowadzenie wysunął się kandydat ultraprawicy Abelardo de la Espriella, zwany nieco pretensjonalnie Tygrysem. Uzyskał 43,75 proc. głosów, wyprzedzając popieranego przez odchodzącego prezydenta Gustavo Petro reprezentanta lewicowej koalicji Pacto Historico, Ivána Cepedę (40,9 proc.). Rezultat był zaskakujący: jeszcze w kwietniu notowania wręcz gwarantowały wskazywały zwycięstwo Cepedy, który według agencji Celag Data miał właśnie 40,9 proc. poparcia – podczas gdy „Tygrysa” Abelarda w tym samym czasie popierało zaledwie 19,6 proc. wyborców. Co sprawiło, że ciągu niewielu tygodni sympatie wyborców zmieniły się tak bardzo? Urzędujący jeszcze prezydent Petro, mający wgląd w przebieg głosowania, twierdził, że nastąpiło oszustwo wyborcze, i alarmował, że w drugiej turze może się ono powtórzyć.

21 czerwca jego obawy się ziściły. Iván Cepeda zdobył 48,71, zaś jego konkurent – 49,66 proc. W efekcie tego kontrowersyjnego zwycięstwa fotel prezydenta objął Abelardo de la Espriella, osobnik wcześniej nieznany szerszemu ogółowi społeczeństwa.

Rywale

Abelardo de la Espriella, 48 lat, jest z wykształcenia prawnikiem. Ma trzy obywatelstwa; kolumbijskie, amerykańskie i włoskie. Jego prawnicza kariera nie jest wzorem zawodowej etyki. Brał udział w procederze prania brudnych pieniędzy i piramidach finansowych (np. afera DMG Grupo Holding S.A.). Robił też wspólne interesy z wenezuelskim politykiem Alexem Saabem. Później ich losy potoczyły się odmiennie: Saab znalazł się w amerykańskim więzieniu, zaś de la Espriella został zaufanym człowiekiem Waszyngtonu i z jego błogosławieństwem wziął udział w wyborach prezydenckich w 2026 r.

Kandydował z ramienia partii Ruch Ocalenia Narodowego. W kampanii wyborczej prezentował program ultraliberalny: obcięcie wydatków publicznych o 40 proc., prywatyzację, obniżkę podatków, bezwzględną walkę z terroryzmem, „radykalnym komunizmem” i wszelkim bandytyzmem. Bezpieczeństwo obiecywał poprawić poprzez budowę więzień. Była to mieszanka prawicowego populizmu ze scenariuszem zastosowanym przez prezydenta Salwadoru Nayiba Bukele.

Głównym przeciwnikiem „Tygrysa” był Iván Cepeda Castro, kandydat koalicji partii lewicowych Pacto Historico. Cepeda ma 63 lata, jest deputowanym do parlamentu, działaczem społecznym i filozofem, autorem licznych książek i esejów. Postulował uniezależnienie Kolumbii od USA poprzez rozbudowę narodowego przemysłu i stopniowe odejście od modelu eksportera bogactw naturalnych. Obiecywał zwiększyć kwoty obligacji emerytalnych dla większej ilości emerytów, likwidować przywileje dla potentatów, umocnić finanse państwa, walczyć o prawa kobiet etc. Kandydat Paktu Historycznego zapowiadał zwiększenie pomocy dla ludów indiańskich. Kandydatką na wiceprezydenta wybraną przez Cepedę była indiańska działaczka Aida Marina Quilcue.

Prezydent Petro oraz działacze Pacto Historico nie zaakceptowali wyniku wyborów. Iván Cepeda przyjął ze spokojem zwycięstwo prawicy, ale wezwał Kolumbijczyków do pokojowego oporu przeciw nowej władzy. Wszystko wskazuje, że zwycięstwo wyborcze de la Esprielli było efektem nie tylko intensywnego przedwyborczego prania mózgów, ale i różnych matactw podczas wyborów – w tym nieuczciwego liczenia głosów.

Na kilka miesięcy przed wyborami kanał telewizyjny Señal Colombia i czasopismo „Raya” informowały, że w środowiskach oligarchii kolumbijskiej powiązanej ze służbami amerykańskimi powstał plan zwany Proyecto Jupiter zmierzający do zablokowania zwycięstwa Cepedy. Inicjatorem planu był prawicowy polityk Jaime Bermúdez Merizalde. Projekt zakładał m.in. zorganizowanie – zwłaszcza w firmach prywatnych – szkoleń politycznych dla pracowników. Była to w istocie agresywna indoktrynacja. Na początek „przeszkolono” w ten sposób 40 tys. pracowników. Zainwestowano w tę działalność 1,7 mln dol. Jednocześnie na Projekt Jupiter składały się kampanie w social mediach, opłacane przez wielkie zachodnie korporacje. W ten sposób nakręcano nagonkę na kandydata Pacto Historico. Manipulowano wynikami sondażu wykonanego przez Celag Data. Były ponoć także plany zabicia Ivána Cepedy oraz przekazania Amerykanom Gustava Petro – jako handlarza narkotyków i „lewicowego ekstremisty”.

Rachmistrze

Obsługą wyborów zajmowała się firma Thomas Greg & Sons będąca kolumbijską odnogą korporacji zarejestrowanej w brytyjskim raju podatkowym na wyspie Guernsey. Jej właścicielami są bracia Felipe, Camilo i Fernando Bautista. Serwer firmy znajduje się w Los Angeles.

Gustavo Petro oświadczył, że dysponuje dowodami, że oprogramowanie użyte podczas wyborów zawiera algorytm umożliwiający sztuczne zwiększanie głosów na rzecz „Tygrysa” poprzez

eprasa.pl 8821106aca

GADMAN

Kapelmistrze

Dziś światem rządzą dwie autokracje. Amerykańska i chińska.

Przewodniczący Xi rzucił koło ratunkowe prezydentowi Trumpowi.

Obiecał, że szybko kupi amerykańską soję i samoloty koncernu Boeing.

Dzięki temu prezydent Trump będzie mógł dowodzić swej skuteczności farmerom borykającym się z nadmiarem soi oraz pracownikom dołującego koncernu lotniczego i ich rodzinom. I starać się przekuć to na ich głosy w wyborach uzupełniających.

Oczywiście przewodniczący Xi nie ruszył na ratunek prezydentowi Trumpowi bezinteresownie. Podczas wrześniowego waszyngtońskiego szczytu Xi–Trump zatwierdzono porozumienie o wzajemnej redukcji ceł na kwotę 30 mld dol. Przedłużono też rozejm w wojnie handlowej do 10 stycznia 2027 r. Powołano dwustronną Radę Handlu.

Dzięki temu Chiny nadal będą mogły korzystnie sprzedawać w USA. W dłuższej niż wyborcza perspektywie.

Przewodniczący Xi potrzebuje amerykańskiego rynku, bo jego partia musi intensywnie szukać źródeł finansowania dalszego chińskiego rozwoju. A także złagodzenia skutków spekulacji na rynku mieszkań i nieruchomości, które zubożyły setki tysięcy Chińczyków. No i pierwszych oznak kryzysu demograficznego, zjawiska nieznanego tam w liczącej wiele tysięcy lat historii.

Starsi panowie dwaj

Przywódcy Chin i USA to politycy dojrzali doświadczeniami i wiekiem. Są liderami największych na świecie, rywalizujących ze sobą potęg. Reprezentują inne systemy gospodarcze i polityczne, i przede wszystkim kultury i style uprawiania polityki.

Pomimo tak fundamentalnych różnic osiągnęli ważne dla nich porozumienie. Czasowe niestety, rozejm, nie pokój, ale dziś bardzo ważne dla reszty świata.

Dowiedli tym, że Chiny i USA, rywalizujące mocarstwa, potrafią się dogadać. Nie zważając na bieżące interesy i postulaty swych międzynarodowych sojuszników.

To ważna lekcja dla politycznych liderów BRICS+, SOW, ASEAN, NATO i UE.

Dowiedli też, że „autokrata" Xi może ratować „demokratę" Trumpa, kiedy ten musi przekupić amerykańskich wyborców. Przy okazji potwierdziło się, że „autokrata" nie ma też nieograniczonej władzy. Musi, jak jego „demokratyczny" partner, ciągle dbać o interesy swych obywateli. Nawet jeśli nie wisi nad nim miecz przegranych wyborów.

Bo stabilność i ciągłość władzy KPCh również warunkowana jest zadowoleniem obywateli z jakości rządzących elit.

Paradoksalnie „autokracie" Xi czasem trudniej jest niż „demokracie" Trumpowi. Prezydent USA może skupić się na kupowaniu głosów jedynie w wahających się stanach. A Xi musi dbać o rozwój i dobrostan całych Chin. Nie wolno mu jawnie faworyzować jednych prowincji kosztem drugich.

Zawarte między Xi i Trumpem porozumienie to sygnał dla sojuszników Trumpa z prodemokratycznej Unii Europejskiej. Zobaczcie, że dziś przywódca wolnego, demokratycznego świata nie ma żadnych formalnych, systemowych, estetycznych, historycznych przeszkód, by robić biznesy z chińską „autokracją".

A dla polskich reliktów „antykomunizmu" to dowód, że chińscy „komuniści" to fajne, swoje chłopaki. Wierni sojusznicy USA podczas II wojny światowej. Lepsi niż niejedni z Europy, co potwierdził znawca, prezydent Trump.

Dla chińskich politycznych sojuszników porozumienie Xi–Trump to dowód, że interesy można robić nawet z wrogim „amerykańskim szatanem".

Właśnie taką chińską drogą podąża teraz Białoruś. Czy wyruszy na nią Iran?

W oświadczeniu MSZ Chin czytamy, że podczas szczytu ustalono, iż Iran powinien „wywiązać się ze zobowiązania do nierozwijania broni nuklearnej".

Oraz że nikt na świecie nie może narzucać opłat na międzynarodowych szlakach wodnych. Czyli za korzystanie z cieśniny Ormuz też.

Mamy zatem odnowiony stary „koncert mocarstw". Pod batutą dwóch kapelmistrzów. Obu wybranych wedle różnych procedur, ale rządzących autokratycznie.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Na jakie partytury globalnego rozwoju zgodzili się jeszcze, pewne niebawem dowiedzą się Kubańczycy, Tajwańczycy, Europejczycy, a nawet Rosjanie.

Moskwa bez twarzy

Truizmem jest spostrzeżenie, że Rosja uzależnia się od Chin. W bajki jednak można włożyć internetowe wizje, że niebawem miliony Chińczyków ruszą odbić „ich Syberię". Zagarniętą przez Rosję w XIX w., kiedy Chiny upadły. Tych terytoriów Chiny nie wyrzekły się i nie uznają obecnej granicy z Rosją.

Ale groźniejsze dla interesów Rosji jest, że Chiny coraz mniej od Rosji potrzebują.

Oczywiście podczas spotkań obu liderów przewodniczący Xi zawsze będzie zapewniać prezydenta Putina o ich niezłomnej przyjaźni, strategicznym partnerstwie i wzajemnie korzystnej współpracy gospodarczej. Będą piękne czerwone dywany, fajerwerki, rzędy dziewcząt w tradycyjnych strojach. Jednocześnie Chiny nie chcą finansować rosyjskiego gazociągu Siła Syberii i upierają się, by przyznać im preferencyjne ceny za rosyjski gaz. Mogą wybrzydzać, bo mają kasę i innych oferentów.

W zeszłym roku po raz pierwszy w historii Chiny pozyskały tyle samo energii z OZE, co z węgla kamiennego. Choć zamierzają zwiększać energię z OZE, to kopalń i elektrowni węglowych nie będą szybko wygaszać. Traktują je jako element bezpieczeństwa energetycznego. Rezerw.

Strategiczne kierunki rozwoju chińskiej gospodarki, czyli inwestowanie w AI, nowe technologie, odnawialne źródła energii, rozjeżdżają się z obecną, zastygającą gospodarką Rosji, nadal bazującą na zyskach ze sprzedaży węglowodorów i innych surowców.

Rosyjska gospodarka i nauka ma coraz mniej do zaoferowania chińskiej. Państwo Środka nie potrzebuje rosyjskich technologii, towarów wypełniaczy supermarketów, rosyjskiego dizajnu czy mody dla kobiet.

Dziś Rosja potrzebna jest chińskiej gospodarce jako teren przyjaznych szlaków handlowych. Takich jak istniejący już kolejowy i lotniczy – i przede wszystkim przyszły szlak morski, przez Arktykę.

Rosja nadal imponuje chińskim wojskowym jako mocarstwo dysponujące bronią atomową. Jednocześnie armia rosyjska coraz częściej wykpiwana jest przez chińskich internautów jako zgraja nieudaczników i luzerów. Przegrywa z mniejszą, wasalną kiedyś Ukrainą.

Dodatkowo ekipa prezydenta Putina, wzmacniając sojusz wojskowy i gospodarczy z KRLD, zirytowała chińskich nacjonalistów. Korea Północna od tysiącleci była dla Chin „bliską zagranicą". Seul zwany był też „miastem Hanów"; a po rosyjsku „Kitajgorodem".

Teraz Kim Dzong Un rośnie w siłę, bo kupuje od Rosji technologie, jakie blokowali mu Amerykanie i Chińczycy. Zwiększa swą suwerenność.

Pekin nie będzie publicznie demonstrować niezadowolenia, bo to niezgodne z chińską kulturą polityczną. Cierpliwie poczeka na moment, by przypomnieć KRLD jej miejsce w regionalnym „ładzie międzynarodowym". A Rosji zdradę w deklarowanej przyjaźni. Nie zdziwię się, jeśli zyska wsparcie od administracji USA.

W politycznej Azji obowiązuje zasada, że kiedy mamy jednocześnie konflikt i interes do zrobienia, to robimy interes. A na czas transakcji zapominamy o konflikcie. Ale rachunek krzywd zawsze zostaje. Czeka na odpowiedni czas w historii.

Dlatego marzenia rosyjskich politologów, filozofów i ekonomistów o Rosji porzucającej „zgniły europejski Zachód" i tworzącej z Chinami nową, zdrową wspólnotę cywilizacyjną to mesjanistyczne mrzonki, opium dla słowiańskiej braci.

Teraz chińskie elity polityczne, kulturalne, gospodarcze postulują renesans chińskiej cywilizacji. Najwspanialszej kultury na świecie. Jej reprezentanci chętnie podzielą się niektórymi jej zdobyczami z resztą świata. Nauczą chińskich znaków i jedzenia pałeczkami. Ale o wspólnocie z niechińskimi cywilizacjami mowy nie ma.

Zwłaszcza z luzerami, którzy ciągle bezprawnie „okupują chińską Syberię".

Chiny a Polska

Polskie elity polityczne nadal nie rozumieją chińskiej polityki. Nadal nie mają planu dalekosiężnej współpracy gospodarczej i politycznej z Chinami. Najważniejszą iluzją jest twierdzenie, że Polska może zrównoważyć albo radykalnie zmniejszyć deficyt w handlu z ChRL, kiedy zacznie sprzedawać tam więcej.

W mieście Ningbo jest wielkie centrum handlu Europy Środkowo-Wschodniej. Polskie stoisko jest największe. Najczęściej odwiedzane. Ma największe obroty. Nasze hity eksportowe. Oferujemy ceramikę z Bolesławca. A także miód, słodycze, piwo, mleko. Ostatnio władze polskie forsowały sprzedaż kurczaków, wołowiny, owoców borówki amerykańskiej. W ilościach wystarczających dla jednego średniej wielkości chińskiego miasta.

Polska potrzebna jest Chinom jako jeden z dostawców miedzi. Surowca zapewniającego im bezpieczeństwo. I przede wszystkim przyjaznego szlaku kolejowego do Unii Europejskiej oraz polskich morskich portów.

Oczywiście gospodarka polska uczestniczy w handlu z Chinami jako ważny kooperant innych europejskich firm. Zwłaszcza niemieckich. I osiąga poważne zyski. Ale to nie jest odnotowywane w formalnym bilansie.

Dlatego nie słuchajcie polskich politycznych durniów, którzy postulują wyjście z Unii Europejskiej i stworzenie „suwerennej" współpracy z Chinami.

Wielokrotnie w Chinach słyszałem, że tylko Polska w Unii Europejskiej jest atrakcyjna dla Chin. Sojuszników spoza Unii, jak Serbię, Białoruś, Albania, oni już mają. Po co im Polska jak druga Albania?

PIOTR GADZINOWSKI

Bogocie



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

manipulacje listami wyborców, multiplikowanie pojedynczych głosów oddanych na de la Espriellę i tworzenie rejestrów głosów fikcyjnych. Gustavo Petro utrzymuje, iż to izraelska firma Black Cube zaopatrzyła Thomas Greg & Sons w taką technologię. Petro twierdził wprost, że interwencja w system była dziełem Mosadu.

Wykazywał, że formularze wyborcze E-14, na których pracownicy komisji odnotowywali głosy z danego obwodu, nie miały podpisów kierownika komisji i pozostałych pracowników. Niektórzy głosujący dostawali do ręki karty z już zaznaczonym głosem na de la Espriellę. W mediach społecznościowych pojawiły się filmiki ukazujące agitatorów prawicy płacących za głosy. W pierwszej turze pojawiły się informacje o ingerencji różnych firm prywatnych w oprogramowanie systemu wyborczego. Po pierwszej turze odnotowano nieprawidłowości w 5300 stanowiskach wyborczych. W elektronicznym oprogramowaniu systemu prowadzonego przez braci Bautista odnotowano niekontrolowane zmiany adresów IP komputerów działających w poszczególnych punktach wyborczych – co wskazuje na zewnętrzną ingerencję w system. W związku z powyższym Petro zaapelował o ponowne zliczenie głosów i dokładne przebadanie komputerów, gdzie zaszły zmiany adresów IP. Prawnikom z Paktu Historycznego zabroniono jednak kontroli 186 komisji wyborczych w celu ustalenia nieprawidłowości.

Demokracja po amerykańsku

Inauguracja przejęcia władzy przez Abelarda de la Espriellę odbyła się 7 sierpnia i miała miejsce w Cali, a nie – jak dotychczas było w zwyczaju – w Bogocie. Nowy prawicowy prezydent w gromkim przemówieniu wyjaśnił, że jest to syndrom zmian; zmian na zawsze. Na inauguracji w Cali były obecne głównie oddziały wojskowe. Nie wpuszczono na uroczystość Indian i zwolenników lewicy.

Przejęcie władzy przez „Tygrysa" odbywało się w atmosferze gorących sporów i dyskusji. 30 wykładowców i prawników opublikowało oświadczenie wyrażające wątpliwość co do tego, czy nowy prezydent – posiadający amerykańskie obywatelstwo – będzie przestrzegał kolumbijskiej konstytucji. Według autorów – prezydent z amerykańskim paszportem może być bardziej oddany interesom USA niż Kolumbii. Rada Państwa odrzuciła ich zastrzeżenia.

Sonia Ordoñez, pracownik naukowy, doktor inżynierii systemów i statystyki Universidad Nacional de Colombia, złożyła doniesienie o fałszerstwie wyborczym na rzecz Abelarda de la Esprielli. Według jej badań, z liczenia wyłączono 614 tys. głosów. Iván Cepeda wykazał pominięcie w liczeniu głosów 885 tys. osób wykazanych w cenzusie wyborczym. Bloger Nicolas Isaza sygnalizował, że „Tygrysowi" doliczono aż 3,1 mln głosów. Do organów państwa napłynęło 57 189 doniesień o fałszerstwach podczas wyborów.

Mimo wielu sygnałów, wskazujących na wyborczy przekręt, Abelardo de la Espriella objął urząd prezydenta ku nieopisanej radości Waszyngtonu, Tel Awiwu i miejscowej oligarchii. Rozpoczął ostro. Postanowił pokazać, że rzeczywiście jest tygrysem. Uznał Wzgórza Golan za integralną część Izraela i poparł roszczenia Maroka do hiszpańskich miast Ceuta i Melilla. Usunął z Kolumbii 14 ambasad. Państwami dotkniętymi tym przejawem niechęci są: Algieria, Azerbejdżan, Barbados, Kuba, Czechy, Etiopia, Ghana, Haiti, Malezja, Nikaragua, RPA, Rumunia, Senegal i Węgry.

Jednocześnie rozpoczęła się ostra ofensywa ideologiczna.

Prawicowy senator Alejandro Bermeo wystąpił z żądaniem, by w szkołach wszystkich stopni wprowadzić jako obowiązkowy Tydzień Antykomunistyczny, podczas którego uczniowie i studenci będą musieli przejść kurs o „komunistycznych zbrodniach" i o walorach „zachodniej demokracji".

Pomysł oparty jest na praktykach z USA. Minister edukacji w rządzie „Tygrysa" Viviane Morales jest rzeczniczką tej inicjatywy i głosi, że „z sal wykładowych należy usunąć Marksa, a umieścić w nich Boga".

20 sierpnia prezydent nakazał zawieszenie emisji 20 stacji radiowych obsługujących publiczny serwis Intravision.

ANDRZEJ ULMER

eprasa.pl 8821106aca

Nadciąga nowa elita?



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Wadowice kuźnią przyszłych kadr rządzących

Wydaje się, że rodzimi krezusi są fanami Wojciecha Młynarskiego, który śpiewał o chorym, co miał wokół siebie wspaniałych doktorów, lecz nie mógł wyzdrowieć:

„Aż tu nagle pewien lekarz zmienił zdanie, puls pomacał i diagnozę taką strzelił:

»Proszę pani, proszę pana, tu potrzebna jest wymiana, tu potrzebna wreszcie jest wymiana jelit«”…

Tylko tak mogę sobie wyjaśnić pomysł powstania w przyszłym roku w Wadowicach skrajnie elitarnej szkoły średniej, wzorowanej na prestiżowym college'u Eton, skąd wywodzi się 20 premierów Wielkiej Brytanii. W zamyśle pomysłodawców ma to być – tu już moja uwaga – instytucja totalna, wypełniająca życie uczniów od 7.00 do 22.00. Twórcom tej placówki jest po ludzku żal, że brytyjskie dzieciaki mają takie wypasione szkoły, a polskie nie…

Bemke College ma potężne ambicje, które są ufundowane na rwącym strumieniu kasy od majętnych polskich biznesmenów z Krzysztofem Pawińskim, prezesem Maspeksu (właściciela 50 marek spożywczych, z Kubusiem i Łowiczem włącznie), na czele. Projekt ten jest dopełnieniem oferty edukacyjnej, jaką ma oferować Campus Bemke, ucząc przyszłą rasę panów od 3. do 19. roku życia.

Od przedszkola do bankstera

Bemke prowadzi już dwa przedszkola – jedno w Wadowicach, drugie (muzyczno-językowe) w Katowicach, a także szkołę podstawową, ale bardziej nastawioną na społeczność lokalną. Co gorsza, elitystyczne koncepcje bogaczy sączą się do głów uczniów i nauczycieli z całej Polski w ramach spotkań i szkoleń, w których w tym roku uczestniczy w sumie 5 tys. osób, w przyszłym ma być już 8 tys.

Odpowiedzi, dlaczego ośrodkiem hodowli technokratycznych brojlerów będą Wadowice, a nie stolyca, udziela Pawiński w rozmowie z „Forbesem”. Zaczyna od cytatu z JP2: „W Wadowicach wszystko się zaczęło. I życie się zaczęło, i szkoła się zaczęła…”, dodając przy tym: „Byłem nawet na wadowickim rynku, kiedy te słowa padały. Jesteśmy stąd, tu zaczęła się nasza przygoda z dużym biznesem. Działamy na wielu światowych rynkach, mamy swoje zakłady w kilku krajach Europy Środkowej oraz w 10 polskich miastach, ale centrala Grupy Maspex jest w Wadowicach i stąd zarządzamy całym holdingiem”.

Oczywiście, jak zauważa w mediach główny architekt Campusu Bemke Tomasz Domogała (właściciel grupy rodzinnej TDJ, zajmującej się m.in. produkcją maszyn górniczych i sektora energii odnawianych), „relacje zbudowane przez cztery wspólnie przeżyte lata pozostają na całe życie. Ważne jest też, z kim te relacje budujemy. Poprzez stypendia chcemy zapewnić miejsca dla najbardziej zdolnych i ambitnych osób. Do tego dochodzi network naszych darczyńców. To ogromny zasób na wyciągnięcie ręki dla uczniów i absolwentów college'u”.

W dawnych czasach nazywano to sitwiarstwem, kumoterstwem i kolesiostwem, ale w świecie ludzi sławnych i bogatych takich obelżywych określeń się nie używa – jest to „social networking”.

Program ogólniaka dla wybranych ma być oparty na angielskiej maturze poziomu A (najwyższego). Ważny też będzie „przedsiębiorczy mindset”, gdyż – wedle Domogały – szkoła chce „wychowywać ludzi, którzy biorą sprawy w swoje ręce, mają inicjatywę, nie boją się konfrontacji z wyzwaniami”.

WC

Co więcej, szkoła chce uczyć altruizmu i służby innym – czyli WC. „Bemke jest projektem świeckim, a przynależność religijna nie jest warunkiem uczestnictwa w naszej społeczności. Jednocześnie nie chcemy ukrywać tego, że wartości chrześcijańskie są ważną częścią tożsamości Bemke.

Chcemy też być transparentni w tym, że projekt powstał na bazie nieruchomości przekazanej nam przez księży pallotynów” – wyjaśnia Domogała.

Zatem przyszła elita będzie brała wzór z obrońców pedofilów, hipokrytów i chciwców – wiodących w kraju szerzycieli wartości chrześcijańskich.

Oczywiście, jak każdy projekt dla elit – a zatem potencjalnie wzbudzający zainteresowanie pospólstwa – Bemke pokaże też łaskę pańską. Twórcy szkoły zapewniają, że wdrożą system stypendiów dla nie dość majętnych uczniów, aby mogli się kształcić na najwyższym poziomie. Ani mnie to grzeje, ani ziębi. Elity dla własnego dobra powinny otworzyć ścieżki kariery dla wybranych, odpowiednio ich urabiając, przy okazji pozbawiając plebs naturalnych liderów.

Odciąć się od hołoty

Szczerze mówiąc, w zasadzie przesądzone już powstanie nowej szkoły dla elit martwi mnie głównie z tego powodu, że nie daje nikomu do myślenia. Nikt się nie zastanawia, dlaczego bogaci chcą odciąć się od normalsów i powszechnego systemu edukacji. Jak ich szkolenia nauczycieli i uczniów przyczynią się do postępującej komercjalizacji szkolnictwa, upowszechniania się postaw, które edukację traktują jak każdy inny biznes, kierujący się zasadą podaży i popytu. A to oczywista bzdura.

Wolny rynek ma sens w wielu sferach, np. gdy na targowisku wybieramy pietruszkę albo kartofle, kierując się indywidualnymi preferencjami. Ale jest absurdalny w przypadku edukacji, gdyż uczeń czy uczennica (a nawet ich rodzice) nie mają nigdy adekwatnej wiedzy o jakości oferowanej usługi. Edukacja to klasyczne dobro publiczne, sfera zbyt ważna dla przyszłości społeczeństwa, aby zostawić ją biznesowi, szukającego kolejnej szansy na duży zysk.

Zamiast szukać wzorców w odległej – i arystokratycznej! – Wielkiej Brytanii, należałoby sięgnąć po wzorce fińskie: Finlandia ma o dwie długości przed innymi najlepszy system edukacji na świecie. Kiedy okazało się, że na maturze dzieciaki z zapadłych dziur pod kołem podbiegunowym osiągają znacząco niższe wyniki od wielkomiejskich uczniów z Helsinek, skierowano duże zasoby, aby zasypać tę lukę. Udało się.

W Polsce szczycimy się, że uczniowie zdobywają nagrody na różnorakich konkursach europejskich, a nawet światowych, np. w informatyce. I zaraz media pokazują ich nauczycieli, typowych nadzorców niewolników i hodowców brojlerów, cisnących wybraną młodzież, by wspinała się na wyżyny swych – przyznajmy, często ogromnych – możliwości. Na drugim końcu skali są szkoły w biednych dzielnicach miast czy na obszarach popegeerowskich, gdzie nauczyciele są sfrustrowani, a placówki skrajnie niedofinansowane; tu uczniowie nie mają szans na rozwój swych talentów.

Polskiej edukacji potrzeba demokratyzacji, a nie powiększania nierówności. Jak śpiewał we wspomnianej na wstępie piosence Młynarski: koniec końców tocząca nasze społeczeństwo choroba będzie stara, choć jelita to się nam szykuje nowa…

KAT

Polskę zbudował ktoś inny

Cała nadzieja w drwalach

Moją największą pretensją do lat młodzieńczych jest to, że wpojono mi wówczas mnóstwo nieprawd, które pochodziły z pospolitych przeświadczeń i – mimo upływu lat – nadal bezkrytycznie tam mieszkają. Jest ich wiele, ale dziś zajmiemy się jedną: „Kazimierz Wielki zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną”. Ehm! Czyżby?

Czy król Kazimierz Wielki przeniósł choć jedną cegłę? Czy mieszał zaprawę, dźwigał kamienie, pchał taczkę, wspinał się na rusztowanie? Czy po robocie wracał do komnaty z odciskami na dłoniach i mówił królowej, że go napierdala kręgosłup? Bardzo wątpię. Albo wręcz, zachowując należny majestatowi szacunek, rzec mogę absolutnie: nie. Kazimierz mógł co najwyżej płacić i z wysokości konia sprawdzać, czy mury rosną. Ale murowali inni.

Zasługi przypisane, ręce umyte

Jest w tym pewna dziejowa niesprawiedliwość. Ludzie, którzy wytwarzają coś konkretnego, mają szczególną skłonność do popadania w zapomnienie. Murarz stawia mur, cieśla dach, kowal kuje żelazo, a potem wszyscy umierają bezimiennie i zostaje jeden Wielki Kazimierz. Ta zasada przetrwała do naszych czasów. Im bardziej konkretny jest rezultat twojej pracy, tym większe prawdopodobieństwo, że nikt nie będzie pamiętał, jak się nazywałeś. Natomiast im bardziej odpowiedzialność rozpływa się w procedurach, departamentach, zespołach, konsultacjach, tym większa szansa, że przejdziesz do historii. Albo przynajmniej do rady nadzorczej. Od epoki ostatniego Piasta zmieniła się technologia budowania, ale technologia przypisywania zasług pozostała ta sama.

Taran z gdańskiej kolebki

Porozmawiajmy zatem o klasie robotniczej. To mityczna kraina, którą wszyscy politycy – od lewa do prawa – odwiedzają wyłącznie przed wyborami, żeby uścisnąć uwaloną smarem dłoń. Potem biegną do łazienki szorować się pumeksem z obrzydzenia. To ta klasa, która miała być solą ziemi, a stała się nawozem dla kolejnych ekip i systemów. Robotnik w Polsce jest jak eksponat w muzeum techniki – wszyscy go podziwiają za „trud”, ale nikt nie chciałby nim być.

To najbardziej wyzyskiwana marka w historii. Najpierw komuniści robili z nich gipsowe figury, a potem brodaci panowie z Solidarności użyli ich jako taranu, żeby dorwać się do koryt. Następnie zostawili ich z tym smarem i beretami na śmietniku historii, każąc cieszyć się z wolności do bycia bezrobotnym. Była to klasa zawsze eksploatowana, a jej problem polegał na tym, że ona sama uwierzyła w bajki o swojej wyjątkowości. W Peerelu wmawiano im, że są „siłą przewodnią”, więc pili wódkę w czasie pracy, żeby poczuć się jak arystokracja na wczasach. W III RP wmówiono im, że są „bohaterami”, więc pozwolili się rozkraść w imię wolności, której i tak nie potrafią skonsumować, bo ich na nią nie stać.

Kufajka, skaner, kredyt

Współczesny robotnik to postać tragiczna, bo pozbawiona nawet tej prymitywnej dumy, którą wmawiano jego dziadkom. Dzisiejszy „człowiek dobrej roboty” nie nosi kufajki, lecz jaskrawą kamizelkę z napisem „Security” albo „Kurier”. To ma mu dawać złudzenie, że jest częścią jakiegoś ważnego systemu. W rzeczywistości jest tylko biologicznym wymiennikiem dla bezdusznych procedur. To facet, który zamiast klucza francuskiego trzyma w ręku skaner, a zamiast „Trybuny Ludu” czyta na ekranie instrukcje, ile sekund ma na siusiu między jednym a drugim regałem w magazynie. To człowiek, któremu odebrano klasową tożsamość, a w zamian dano kredyt hipoteczny i prawo do oglądania w telewizji ludzi, którzy udają, że żyją jego życiem. Kiedyś robotnik był „siłą przewodnią” – przynajmniej w teorii. Dziś jest „zasobem ludzkim”.

Niewidzialni od wywozu szamba

Współczesny proletariusz nie strajkuje w stoczniach, bo stocznie przerobiono na apartamentowce dla deweloperów, które on sam budował. Nie rzuca śrubami w milicję. Po cichu, z pokorą średniowiecznego chłopa, pakuje walizkę i jedzie szparagi zbierać u Niemca. Pachnie tanim dezodorantem z dyskontu i wie doskonale, że na jego miejsce czeka dziesięciu innych, jeszcze bardziej głodnych i jeszcze mniej wymagających.

Został mu tylko beret. Kiedyś był symbolem fachu, dziś jest czapką niewidką, która sprawia, że reszta społeczeństwa go nie dostrzega, dopóki nie zepsuje się winda albo trzeba wywieźć szambo.

Zbudowaliśmy kraj, gdzie praca rąk własnych jest traktowana jak wstydliwa choroba, na którą chorują ci, którym nie starczyło sprytu, by zostać „specjalistą od wizerunku” albo innym darmozjadem z dyplomem wyższej szkoły niczego.

Precyzyjne rżnięcie

Ten smutny nieco obraz zmienił mi się ostatnio na weselszy. Udałem się do Kozłowa, gdzie odbywały się Mistrzostwa Polski Drwali. Sama nazwa imprezy wydała się podejrzana. Mistrzostwa drwali? Wyobraziłem sobie grupę potężnych facetów w kraciastych koszulach, którzy na sygnał rzucają się z siekierami na Puszczę Piską, a wygrywa ten, po którego występie trzeba poprawiać mapy satelitarne. Nic podobnego.

Ponad 50 drwali, w tym 22 cudzoziemców z ośmiu państw, udowadniało, że rąbanie drewna to niemal neurochirurgia. Pięć konkurencji – ścinka, wymiana łańcucha, przerzynka kombinowana i precyzyjna oraz okrzesywanie – miało dowieść, że człowiek z piłą to zegarmistrz, a nie barbarzyńca. Przy ścince piętnastometrowych pali liczył się nie hałas, a celność, zaś wymiana łańcucha stała się sportem, bo drwale składają sprzęt szybciej, niż przeciętny Polak znajduje instrukcję obsługi.

Wyniki tej rzezi w majestacie techniki: Kacper Wirkus wygrał w przerzynce precyzyjnej (247 pkt), Marek Bagrowski w okrzesywaniu (456 pkt), a Tomasz Bilski zdominował wymianę łańcucha i przerzynkę kombinowaną. Najlepszym w ścince i nowym mistrzem Polski seniorów został Kamil Szarmach z dorobkiem 1638 punktów. Gratuluję.

Miska prawdy

Tego samego dnia w Warszawie odbywały się natomiast Europejskie Mistrzostwa Motorniczych Tramwajowych. Na Marszałkowskiej, 26 dwuosobowych ekip z całej Europy udowadniało, że prowadzenie tramwaju to coś więcej niż zamykanie drzwi przed nosem spóźnionego emeryta. Zwykle motorniczy jest dla pasażera przezroczysty jak szyba, chyba że zahamuje za ostro – wtedy nagle zyskuje tożsamość „skurwysyna”. Mistrzostwa wyciągnęły ich z tej anonimowości. Musieli cofać, omijać przeszkody i oceniać prędkość bez zerkania na przyrządy. Najbardziej urocza była miska z wodą: trzeba było tak wyhamować to żelastwo, żeby nie uronić kropli.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Igrzyska ludzi ważnych

I teraz pomyślałem sobie: skoro drwale i tramwajarze mogą mieć swoje igrzyska, dlaczego nie urządzić mistrzostw dla ministrów, prezesów państwowych spółek i całej tej menażerii? Problem w tym, że trudno byłoby ustalić konkurencje. W czym mieliby rywalizować? W przecinaniu wstęg na czas? W laniu wody do mikrofonów bez uronienia kropli sensu?

Niestety, ci pomazańcy losu znacznie częściej trafiają na cokoły niż do uczciwej roboty. Dostają ordery, ulice i tablice pamiątkowe, choć ich jedynym wkładem w budowę mostu było uśmiechanie się do obiektywu, gdy inni brudzili sobie ręce. Anonimowy spawacz, murarz czy mechanik pozostawia po sobie dom, instalację albo drogę – rzeczy, które mają tę bezczelną cechę, że albo działają, albo nie.

Pomniki bez nazwisk

Warto zatem na chwilę odwrócić perwersyjną optykę. Klasa robotnicza – ta dawna, umorusana węglem, i ta współczesna, w odblaskowych kamizelkach – zawsze miała jednego wspólnego pecha: polityków. Używano jej jako tła do płomiennych przemówień, oszukiwano przy wypłatach i wyrzucano na śmietnik historii, gdy tylko robole przestawali być potrzebni do robienia tłumu na wiecach.

Jeśli jednak odrzucimy ten cały socjotechniczny bełkot i zmierzymy ludzkie życie nie liczbą portretów w podręcznikach, a tym, co po nas realnie zostaje, hierarchia nagle się sypie. Polskę wymurowała anonimowa hołota, która po robocie nie dostawała tablic pamiątkowych, tylko marną strawę. I to oni, do cholery, wygrywają w jedynym uczciwym rankingu: rankingu istnienia rzeczy, które działają nawet wtedy, gdy ostatni minister o nich zapomni.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl 8821106aca

Polska kształci tych, których chcą kształcić uczelnie

Doktorat z szukania pracy

Można skończyć studia, zdobyć magistra, zrobić kurs Excela, nauczyć się tworzenia prezentacji, wpisać do CV komunikatywność, kreatywność oraz umiejętność pracy w zespole, a potem przekonać się, że na myśl o tej samej posadzie w biurze wpadło jeszcze 156 osób. Można też nauczyć się czegoś, co pozwala zaprojektować maszynę, instalację albo kawałek fabryki i odkryć, że konkurencja jest 14-krotnie mniejsza. Tak przynajmniej wygląda Polska oglądana przez dane portali z pracą. W sierpniu na przeciętne ogłoszenie przypadało 40 aplikacji. Na ofertę pracy biurowej – 157. W administracji biurowej – 136, w handlu internetowym – 115. Tymczasem w inżynierii na jedno ogłoszenie przypadało ledwie 11 zgłoszeń. I właśnie tam liczba ofert zwiększyła się w ciągu roku aż o 65 proc.

Nie jest to jeszcze dowód, że całe polskie szkolnictwo poniosło klęskę. Jest za to całkiem niezłym dowodem, że pomiędzy tym, czego uczy się spora część młodych ludzi, tym, do jakiej pracy aspirują, a tym, czego potrzebuje gospodarka, powstała dziura. I dziura ta ma tę szczególną właściwość, że państwo od lat ją mierzy, opisuje, monitoruje, produkuje raporty na jej temat, po czym następny rocznik młodzieży idzie dokładnie tam, dokąd szedł poprzedni.

Dyplomizacja

Według GUS 31 grudnia 2025 r. w polskich uczelniach kształciło się 1,323 mln osób. Było ich o 42,7 tys. więcej niż rok wcześniej. W roku akademickim 2024/2025 uczelnie wyprodukowały 306,6 tys. absolwentów, czyli o 14,6 tys. więcej niż rok wcześniej. W Polsce działało w roku akademickim 2025/2026 aż 345 uczelni, choć statystyczne sprawozdania będące podstawą szczegółowego opracowania GUS złożyło 328 z nich. To całkiem spory przemysł, którego produktem jest człowiek z dyplomem.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Jeszcze ciekawiej wygląda historia ostatniej dekady. W roku akademickim 2015/2016 mieliśmy 1,4 mln studentów. Do 2019/2020 liczba ta spadła do 1,2 mln, po czym zaczęła znowu rosnąć i doszła do wspomnianych 1,323 tys. Jednocześnie liczba absolwentów zmniejszyła się z 364,6 tys. w roku 2015/2016 do 306,6 tys. w 2024/2025.

Sam fakt studiowania oczywiście nie jest niczym złym. Człowiek może studiować filozofię, japonistykę, archeologię albo historię sztuki dlatego, że go to interesuje, a nie po to, żeby minister gospodarki mógł go później postawić przy obrabiarce. Problem zaczyna się gdzie indziej. Państwo jednocześnie utrzymuje system, którego jednym z deklarowanych zadań jest przygotowanie ludzi do funkcjonowania społecznego i zawodowego, posiada dane o potrzebach rynku, prowadzi monitoring losów absolwentów, prognozuje deficyty zawodowe, a mimo to potrafi patrzeć, jak w jednym miejscu kandydatów są tysiące, podczas gdy w drugim pracodawcy nie mają kogo zatrudnić.

I teraz można wrócić do sierpniowych danych. Liczba wszystkich ogłoszeń o pracę spadła w rok o 2 proc., natomiast zainteresowanie kandydatów wzrosło. Przeciętnie na ofertę przypadało 40 aplikacji, o 3 proc. więcej niż rok wcześniej. Mediana oferowanego wynagrodzenia wynosiła 6,7 tys. zł i była o 3 proc. wyższa niż przed 12 miesiącami. Ale średnia ma tutaj mniej więcej taki sens jak informacja, że statystycznie człowiek i koń mają po trzy nogi. Bo przy pracy biurowej było 157 aplikacji na jedno ogłoszenie, w administracji biurowej – 136, w e-commerce – 115, sprzedaży – 69, HR – 60, a w inżynierii – 11.

Co zrobił w tym czasie rynek? Liczbę ofert dla inżynierów zwiększył o 65 proc. Przy wykładaniu towaru wzrost wyniósł 35 proc., pracach magazynowych – 14 proc., HR – 12 proc., a pracy w sklepach – 8 proc.

A co zrobili kandydaci? Najmocniej rzucili się na obsługę klienta, gdzie liczba aplikacji zwiększyła się o 45 proc. W ochronie wzrost wyniósł 15 proc., budownictwie –12 proc., produkcji – 9 proc., a w sklepach – 8 proc.

Praca pracy nierówna

To nie jest oczywiście proste przełożenie kierunku studiów na kategorię portalu z pracą. Administrator biurowy nie musi mieć magistra administracji, podobnie jak absolwent zarządzania nie musi szukać pracy w HR. Dane pokazują jednak coś trudniejszego do zignorowania: aspiracje ogromnej grupy poszukujących pracy skupiają się w segmentach, w których kandydatów jest już wielokrotnie więcej niż w zawodach technicznych.

Rynek próbuje tłumaczyć wszystko po swojemu, czyli pieniędzmi. Mediana wynagrodzenia w hotelarstwie wzrosła w ciągu roku z około 5,5 tys. do 8,5 tys. zł, czyli aż o 55 proc. W BHP wzrost wyniósł 39 proc., a w przypadku hostess – 23 proc. Najwyższe kwoty pojawiały się w ofertach franczyzowych, gdzie mediana sięgała 30 tys. zł, w pracy zagranicznej było to 14 859 zł, a w nieruchomościach – 12 501 zł. Najniżej wypadały służby mundurowe z medianą 4953 zł, sprzątanie z 5040 zł i ochrona z 5057 zł.

Gospodarka robi więc to, czego można po niej oczekiwać. Gdy czegoś brakuje, próbuje podnosić cenę. Edukacja reaguje znacznie wolniej, bo jej produkcja ma kilkuletni cykl technologiczny, a na dodatek o uruchamianiu i utrzymywaniu kierunków nie decyduje wyłącznie przyszłe zapotrzebowanie przedsiębiorstw.

Można oczywiście powiedzieć, że portal to żadne źródło wiedzy. Tyle że GUS opowiada podobną historię innymi liczbami.

Na koniec drugiego kwartału 2026 r. w polskiej gospodarce było 98,7 tys. wolnych miejsc pracy. W stosunku do pierwszego kwartału ubyło ich 1,5 tys., czyli 1,5 proc., ale w porównaniu z drugim kwartałem 2025 r. przybyło 2,9 tys. Wskaźnik wolnych miejsc pracy wynosił 0,8 proc. i był zaledwie o 0,01 pkt proc. niższy niż kwartał wcześniej, a o 0,02 pkt proc. wyższy niż przed rokiem.

Nie mamy zatem gospodarki, w której drzwi wszystkich zakładów są zamknięte. Mamy prawie 100 tys. nieobsadzonych stanowisk. Tyle że stanowisko stanowisku nierówne.

Najwyższy wskaźnik wakatów występował w budownictwie i wynosił 1,59 proc., a najniższy w górnictwie i wydobywaniu – 0,11 proc. W samym przemyśle czekało 24,7 tys. wolnych miejsc, czyli mniej więcej jedna czwarta wszystkich wakatów w kraju. Szczególnie poszukiwani byli robotnicy i rzemieślnicy oraz operatorzy i monterzy maszyn.

Uczelnia wie lepiej

Krajowa prognoza Barometru Zawodów na 2026 r. nie pozostawia większych wątpliwości, jakiego rodzaju ludzi brakuje w skali Polski. W deficycie znaleźli się m.in. elektrycy i energetycy, kierowcy autobusów, kierowcy ciężarówek i ciągników siodłowych, lekarze, magazynierzy, monterzy instalacji budowlanych, operatorzy i mechanicy sprzętu do robót ziemnych oraz spawacze. Są tam także pielęgniarki i położne, samodzielni księgowi, psycholodzy i terapeuci. I jest na tej liście pozycja szczególnie smakowita dla każdego, kto chciałby twierdzić, że system edukacji bezbłędnie dopasowuje się do własnych potrzeb – brakuje nauczycieli praktycznej nauki zawodu i nauczycieli przedmiotów zawodowych.

Czyli żeby wykształcić więcej ludzi, których potrzebuje gospodarka, potrzebujemy ludzi potrafiących ich wykształcić. A tych też brakuje. System ma zatem nie tylko problem z końcowym produktem. Zaczyna mu brakować ludzi przy taśmie produkcyjnej.

Uniwersytety i szkoły wyższe nie stoją jednak puste. Wręcz przeciwnie. GUS informuje, że studentów przybyło 42,7 tys. w rok, a dyplomów wydano 306,6 tys.

I tu pojawia się jeden z najważniejszych problemów w dyskusji o edukacji. Nie można uczciwie powiedzieć, że młodzi Polacy masowo wybierają wyłącznie kierunki bez jakiegokolwiek związku z gospodarką. Tak nie jest. Popularne są studia medyczne, techniczne, informatyczne, budownictwo i pielęgniarstwo. System nie produkuje samych magistrów siedzenia przy biurku.

Ale równie trudno nie zauważyć, że ogromna część systemu szkolnictwa wyższego działa według logiki popytu edukacyjnego.

Kierunek istnieje, bo są na niego chętni, można zebrać grupę, zatrudnić prowadzących i przeprowadzić studenta od immatrykulacji do obrony. To, czy za kilka lat gospodarka będzie potrzebowała dokładnie takiego absolwenta, nikogo nie interesuje.

Z punktu widzenia samych instytucji edukacyjnych system wcale nie musi wyglądać źle. Student został przyjęty, studiował, obronił pracę, dostał dyplom. Uczelnia wykonała swoją robotę.

Dopiero kilka miesięcy później okazuje się, że człowiek rozpoczyna rywalizację ze 156 innymi osobami o jedno biurko. Ale wtedy uczelni już przy nim nie ma.

TADEUSZ JASIŃSKI

Życie w dobrobycie

● Gdyby zagraniczni inwestorzy obrazili się na Polskę i zabrali swoje pieniądze, to na warszawskiej giełdzie zrobiłoby się cicho. W pierwszej połowie roku odpowiadali bowiem za 73 proc. obrotów akcjami na głównym rynku Giełdy Papierów Wartościowych. Żeby tylko zagraniczna kasa kręciła giełdą. Obcy kapitał coraz chętniej finansuje też nasze państwo. Na koniec lipca zadłużenie Polski w krajowych skarbowych papierach wartościowych wynosiło 1,648 bln zł i w ciągu miesiąca zwiększyło się o 10,5 mld zł. Skarbowe papiery wartościowe brzmią fachowo, ale filozofia jest prosta. Państwo potrzebuje pieniędzy, więc pożycza je od tych, którzy je mają, obiecując oddać kasę wraz z odsetkami. Banki, wraz z NBP, posiadały papiery warte 865,8 mld zł, czyli 52,5 proc. całości. Krajowi inwestorzy pozabankowi mieli 579 mld zł, odpowiadające 35,1 proc., zaś zagraniczni inwestorzy trzymali już 204,1 mld zł polskiego długu. Tylko w lipcu zwiększyli swoje zaangażowanie o 5,2 mld zł. Znaczy to, że niemal połowa całego miesięcznego wzrostu zadłużenia w krajowych papierach skarbowych przypadła właśnie na zagranicę. Jej udział systematycznie zresztą rośnie. Na koniec 2025 r. wynosił 11,8 proc., w czerwcu 2026 r. – 12,1 proc., a miesiąc później – już 12,4 proc. Zagraniczne pieniądze można znaleźć również w pozostałych zakamarkach warszawskiego rynku finansowego. Na NewConnect inwestorzy spoza Polski zrobili 163 mln zł obrotów, zdobywając 7 proc. rynku. W kontraktach terminowych odpowiadali za blisko 4,6 mln kontraktów, czyli 31 proc. rynku, a w opcjach za blisko 45 tys. kontraktów, co dawało im 23 proc. udziału. W produktach strukturyzowanych zagranica zrobiła około 2,24 mld zł obrotów, przejmując 50 proc. rynku. Polscy inwestorzy indywidualni osiągnęli tam około 2,17 mld zł, czyli 48 proc. Możemy więc dalej opowiadać, że kapitał ma narodowość. Ma. Tylko wychodzi na to, że na warszawskiej giełdzie najczęściej nie polską. I dlatego opowieści o gospodarce, która zagranicznego kapitału nie potrzebuje, wymagają odpowiedzi na jedno proste pytanie: czym go zastąpić?

● Sprzątanie mieszkania staje się usługą premium. Wystarczy dom o powierzchni do 100 mkw., aby za jednorazowe doprowadzenie go do porządku zapłacić średnio od 394 do 565 zł. Jak ktoś dorobił się chałupy od 100 do 200 mkw., może zapłacić nawet 1300 zł. Jeśli właściciel dużego domu zamawiałby usługę za 1300 zł raz na tydzień, cztery wizyty kosztowałyby 5200 zł. To oczywiście jedynie przeliczenie maksymalnej podanej ceny, ale dobrze pokazuje, jak luksusowym wydatkiem może stać się regularne sprzątanie. Jeszcze weselej robi się po remoncie. Sprzątanie po nim kosztuje od 6 do 12 zł za mkw. W przypadku mieszkania o powierzchni 50 mkw. trzeba wyłożyć od 300 do 750 zł. Najbardziej po kieszeni dostają tradycyjnie mieszkańcy Warszawy. Standardowe sprzątanie mieszkania do 80 mkw. kosztuje tam około 400–550 zł. Większe mieszkanie albo dom do 120 mkw. to już 600–800 zł. Regularne korzystanie z firmy sprzątającej oznacza około 75–85 zł za godzinę pracy. Nawet okna zaczynają wyglądać na dobro luksusowe, bo umycie przez firmę jednego dwuskrzydłowego kosztuje około 70–80 zł. W Krakowie posprzątanie mieszkania do 80 mkw. kosztuje około 400–530 zł, a większego lokalu lub domu do 120 mkw. – 550–700 zł. Regularne sprzątanie przez firmę wyceniane jest na 60–70 zł za godzinę, zaś umycie dwuskrzydłowego okna na 65–75 zł. We Wrocławiu ceny są niemal identyczne. W Łodzi standardowe sprzątanie do 80 mkw. kosztuje 390–520 zł, a większego mieszkania lub domu do 120 mkw. – 550–670 zł. Można oczywiście zamiast firmy znaleźć osobę prywatną. Takie osoby biorą zazwyczaj od 30 do 50 zł za godzinę i są bardziej elastyczne. Na takie dictum statystyczny Polak bierze odkurzacz, wiadro oraz ścierkę i zaczyna pielęgnować narodową samowystarczalność.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

● Artysta pisze książki, komponuje muzykę, maluje obrazy, tańczy, śpiewa albo gra w teatrze i kiedy przychodzi do zapewnienia mu emerytury, zaczyna się wielkie liczenie. W Polsce jest potencjalnie 62,5 tys. ludzi wykonujących zawody artystyczne, którym państwo chciałoby pomóc w opłacaniu składek na ubezpieczenia społeczne i zdrowotne. Pomysł nie polega na tym, że malarz przyjdzie do urzędu, pokaże trzy obrazy i dostanie kopertę z pieniędzmi. Państwo ma uzupełniać jego składki do wysokości odpowiadającej składkom od minimalnego wynagrodzenia, aby człowiek, który przez sporą część życia zarabia nieregularnie, miał na starość szansę dostać przynajmniej minimalną emeryturę. Ta wynosi obecnie 1978,49 zł brutto. Koszt całej operacji oszacowano na 400–450 mln zł rocznie. Niby dużo. Dopóki nie zajrzy się do rubryki zatytułowanej obrona narodowa. W 2026 r. Polska przeznacza bowiem na obronność rekordowe 200,1 mld zł, czyli 4,81 proc. PKB. 450 mln zł stanowi około 0,225 proc. z 200,1 mld zł, a 400 mln zł – niecałe 0,2 proc. Czyli roczny koszt całego systemu pomocy w składkach dla dziesiątek tysięcy artystów odpowiada mniej więcej 0,2 procenta tego, co w jednym roku przeznaczamy na obronność. Z dopłaty mają korzystać artyści, których dochód osiągany w trzech poprzednich latach podatkowych nie przekraczał 125 proc. minimalnego wynagrodzenia. Tyle że na drodze pomiędzy artystą a jego 1978,49 zł brutto stanął ZUS. „Sygnalizujemy, że proponowany przez projektodawcę okres 9 miesięcy vacatio legis rodzi ryzyko braku możliwości realizacji ustawy przez Zakład w zakładanym terminie" – napisano. I tak oto pomiędzy pisarzem a minimalną emeryturą pojawiają się trzy miesiące informatyki. Na szczęście za czołgi płacimy terminowo.

● Od 1 października w polskich sanatoriach ceny spadają. Za trzytygodniowy turnus można zapłacić mniej o około 200 zł, a w jednym przypadku – nawet o 237,30 zł. I nie jest to promocja, państwo po prostu podzieliło sanatoryjny rok na dwa sezony cenowe. Tańszy trwa od 1 października do 30 kwietnia, droższy – od 1 maja do 30 września. NFZ tłumaczy, że każdy pacjent przebywający w sanatorium uzdrowiskowym ponosi koszt zakwaterowania i wyżywienia, zaś wysokość dziennej opłaty zależy od standardu pokoju. NFZ finansuje świadczenia, lecz kuracjusz dokłada się do jedzenia i łóżka oraz płaci za podróż do uzdrowiska i z powrotem. Najciekawszy jest cennik. Od października miejsce w pokoju jednoosobowym z pełnym węzłem sanitarnym kosztuje 32,60 zł dziennie zamiast 40,90 zł w sezonie letnim. Jedynka w studiu tanieje z 37,40 do 26,10 zł, a najtańszy pokój wieloosobowy bez pełnego węzła z 11,90 do 10,60 zł. Przy standardowym 21-dniowym pobycie jednoosobowy pokój z łazienką kosztuje więc 684,60 zł zamiast 858,90 zł, czyli o 174,30 zł mniej. Jedynka w studiu kosztuje 548,10 zamiast 785,40 zł, co daje już 237,30 zł różnicy. Najtańsza wersja wieloosobowa kosztuje 222,60 zamiast 249,90 zł. Cała wielka sezonowa ulga wynosi w tym ostatnim przypadku 27,30 zł za trzy tygodnie, czyli 1,30 zł dziennie. W 2023 r. 257 zakładów lecznictwa uzdrowiskowego przyjęło 903,8 tys. kuracjuszy. W 2024 r. działały już 263 zakłady, ale kuracjuszy było 884,2 tys. Rok później zakładów nadal było 263, zaś kuracjuszy – 878,1 tys. W ciągu dwóch lat przybyło zatem sześć zakładów, a liczba wszystkich kuracjuszy zmniejszyła się o 25,7 tys. Na koniec 2025 r. w Polsce działało 41 szpitali uzdrowiskowych, 191 sanatoriów, 10 przychodni i 21 zakładów przyrodoleczniczych obsługujących kompleksy uzdrowiskowe. W szpitalach i sanatoriach było 45,9 tys. łóżek, o 0,4 proc.mniej niż rok wcześniej. Nie wygląda to na śmierć polskiego sanatorium. Bardziej na olbrzymią branżę, w której coś zaczyna zgrzytać.

TTJ

eprasa.pl 8821106aca



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Trzaskowski, wyskrob wreszcie płodziarzy!

Jak wygrać z terrorem pro-life?

Miasto stołeczne Warszawa w końcu stanęło na wysokości zadania i rozwiązało pikietę płodziarzy pod przychodnią aborcyjną AboTak. Radość z ciszy i spokoju trwała trzy dni. Szwadron obrońców zygot spod skrzydeł Kai Godek wrócił i nieniepokojony przez służby kontynuował utrudnianie życia pracownicom przychodni, pacjentkom i okolicznym mieszkańcom. Warszawski magistrat nie zareagował. Tymczasem obywatelka z innej części kraju spuszczana po brzytwie obojętności ze strony państwa i służb wzięła sprawy w swoje ręce i z pro-liferami wygrała. Podobnie jak gdańscy urzędnicy.

Aborcja macht frei

Sytuacja wokół warszawskiej przychodni AboTak jak w soczewce obnaża paraliż struktur państwowych i samorządowych w starciu z radykalnymi organizacjami fundamentalistycznymi.

Przychodnia powstała w marcu 2025 r. przy ul. Wiejskiej 9, naprzeciw sejmu. Prowadzą ją aktywistki z Aborcyjnego Dream Teamu. W placówce osoby ciężarne mogą uwolnić się od kłopotu za pomocą tabletek. Pracownice przychodni wyręczają też państwo, pomagając wyjechać na zabieg za granicę, jeśli pacjentka wie lub boi się, że lekarze w kraju odmówią jej pomocy.

Działalność przychodni jest legalna. Legalne są również cykliczne demonstracje „obrońców życia" pod AboTak – przynajmniej formalnie. Dwa, trzy razy w tygodniu pod budynkiem, w którym mieści się placówka, pojawiają się grupy „obrońców życia". Rozwijają transparenty z portretem austriackiego akwarelisty, hasłami „Aborcja macht frei" i wizerunkami rozczłonkowanych płodów. Oblewają placówkę i chodnik kwasem masłowym albo czerwoną farbą. Przez głośniki puszczają dźwięki mające kojarzyć się z płaczem dziecka, niekiedy z rysowaniem paznokciem po tablicy. Trąbią w wuwuzele i łomoczą w bębny. Hałas przekracza 135 decybeli – tyle, ile wytwarza syrena alarmowa; 135 dB to maksymalny szczytowy poziom dźwięku dopuszczalny w środowisku pracy jako limit awaryjny, którego przekroczenie grozi natychmiastowym uszkodzeniem słuchu. Tak grupa zwolenników Kai Godek i jej Fundacji Życie i Rodzina walczy z „cywilizacją śmierci".

Kiedy mieszkańcy kamienicy i okolicznych budynków dzwonili na policję, by zgłosić zakłócanie spokoju, byli odsyłani do miasta, które jako jedyne może rozwiązać zgromadzenie. Miasto do tej pory zasłaniało się konstytucyjnym prawem do wolności zgromadzeń i przepisami o ochronie środowiska, które nie określają akustycznego standardu, przez co jakiekolwiek pomiary hałasu nie dają podstawy do podejmowania dalszych działań administracyjnych. Bardzo wygodne. Magistrat powoływał się też na dotychczasowe rozstrzygnięcia sądów. Za przykład podawał np. ten z Sądu Rejonowego dla Warszawy-Śródmieścia, który w 2019 r. orzekł, że demonstracja antyaborcjonistów na stacji metra Centrum „miała na celu ochronę życia, a nie jego lekceważenie". Chodziło o eksponowanie w przestrzeni publicznej zdjęć ludzkich szczątków w krwawej brei.

Dał nam przykład Wrocław

3 września piekło zamarzło. Policja po raz pierwszy od 18 miesięcy rozwiązała zgromadzenie i zabrała demonstrantom nagłośnienie. Stołeczne Centrum Bezpieczeństwa nabrało wody w usta, ale sieć obiegł film ze zdarzenia. Widać na nim zrozpaczonego mężczyznę, który biegnie z dzieckiem do auta zaparkowanego nieopodal przychodni. Dziecko zasłania sobie uszy. Mężczyzna lokuje je w samochodowym fotelu i klęka przed demonstrantami, błagając o ciszę. Tuż po tym zdarzeniu policja zabrała głośniki protestującym. Kumple i kumpelki Godek nie opublikowali nagrania w swoich mediach. Pożalili się, że służby zwinęły im sprzęt za kilkanaście tysięcy złotych… Trzy dni później wrócili na swoje pozycje. Zatrzymać ten burdel mogła tylko jedna rzecz – konsekwencja. Wyszło jak zwykle. Warszawscy (i nie tylko) urzędnicy dają ciała. Są wyroki sądowe, które jasno pokazują, jak zwalczać ultrakatolicki terror.

3 sierpnia br. Sąd Okręgowy we Wrocławiu nakazał antyaborcyjnej Fundacji Pro-Prawo do Życia zdjęcie dwóch billboardów ze zdjęciami zakrwawionych ludzkich galaret, które ustawili przy autostradzie między Opolem a Wrocławiem. Sędzia Anna Strzebinczyk-Stembalska wydała też zakaz umieszczania tam podobnych plakatów w przyszłości oraz zasądziła 50 tys. zł odszkodowania dla 17-letniego dziś Franciszka Kossowskiego.

Proces wytoczyła z powództwa cywilnego matka chłopaka. W 2020 r. 11-letni wówczas Franek z niepełnosprawnością sprzężoną w stopniu znacznym zobaczył krwawe billboardy przy autostradzie. Doznał traumy. Policja w Opolu przyjęła zgłoszenie matki chłopca. Sprawa trafiła do sądu, bo udało się ustalić właścicieli plakatów. Sąd wydał wyrok nakazowy i nałożył grzywnę na fundację. Orzeczenie nie zadowoliło żadnej ze stron – fundacja uważała się za niewinną, a Agnieszka Kossowska domagała się usunięcia banerów, czego ten tryb nie obejmował. Obie strony wniosły sprzeciw, sprawa miała zostać rozpatrzona od nowa, ale prokuratura nieoczekiwanie wycofała się ze sprawy, a sąd z uwagi na brak wniosku postępowanie umorzył. Po odwołaniu Kossowskiej sąd nakazał kontynuowanie postępowania, jednak trzyletni proces zakończył się uniewinnieniem przedstawiciela fundacji w obu instancjach.

Sędzia uznał, że art. 141 kodeksu wykroczeń regulujący czyny nieobyczajne mówi o wizerunkach czy zdjęciach strefy intymności i seksualności człowieka. Natomiast obraz brutalny, jak ten z banerów, miał nie być nieprzyzwoity, choć sędzia zaznaczył, że narusza normy społeczne.

Kossowska zdecydowała się na drogę cywilną. W opinii psychiatrycznej przedstawionej w sądzie potwierdzono, że jej syn cierpi na zespół stresu pourazowego, a leczenie może potrwać wiele miesięcy lub nawet lat. Kossowska zaznaczyła, że chłopak wciąż wymaga terapii i rodzina musi unikać sytuacji, w których mógłby ponownie zobaczyć podobne obrazy. Tym razem prawo stanęło po stronie sprawiedliwości.

Matka chłopca udowodniła przed sądem realną, metodyczną szkodę i uszczerbek na zdrowiu psychicznym konkretnego dziecka. Choć wyrok jest nieprawomocny, pokazał, że wolność słowa kończy się tam, gdzie zaczyna się zdrowie psychiczne drugiego człowieka.

To nie precedens wiążący, ale może wspierać uzasadnienie działań w ramach istniejących narzędzi – ograniczenia hałasu, regulaminów zgromadzeń, ochrony porządku lub interwencji przy kolejnych naruszeniach.

…i Gdańsk

Jakby tego było mało, pod koniec lipca, po ponad czterech miesiącach od decyzji sądu pierwszej instancji, Sąd Apelacyjny w Gdańsku potwierdził, że podjęta przez działających z ramienia prezydent Gdańska urzędników decyzja o rozwiązaniu antyaborcyjnej pikiety pod szpitalem na Zaspie w styczniu br. była słuszna. Zorganizowała ją Fundacja Życie i Rodzina Kai Godek, której wyznawcy sprzeciwiali się legalnie przeprowadzanym przez lecznicę zabiegom aborcji. Sąd uznał, że ze względu na konstytucyjną ochronę zdrowia, która w warunkach szpitalnych wymaga szczególnej ochrony, miasto postąpiło prawidłowo.

Mówiąc bardziej obrazowo, wyrok Sądu Apelacyjnego ustanawia standard potwierdzający, że organizowane przez Fundację Życie i Rodzina protesty w takim kształcie, w jakim miały miejsce przy gdańskim szpitalu św. Wojciecha, łamią prawo. Ten wyrok daje samorządom sygnał, że można i trzeba reagować, jeśli demonstracja zagraża zdrowiu pacjentów i utrudnia dostęp do opieki medycznej. Dlaczego zatem Trzaskowski cacka się z zygotarianami z Wiejskiej?

Zgromadzeń nie można zakazać czy zdelegalizować. Każdy ma do nich prawo, które gwarantuje art. 57. konstytucji. Niemniej organ przyjmujący zgłoszenie o organizacji zgromadzenia ma obowiązek jego rozwiązania w przypadku, gdy jest tam łamane prawo. Dowodów na przegięcie pały ze strony sfory Godek jest aż nadto, narzędzi do jej spacyfikowania też. Polityk, którego partia przez wszystkie przypadki odmienia słowo „bezpieczeństwo", a który nie potrafi zadbać o nie w klinice działającej tuż pod sejmem, powinien wreszcie zdecydować, po czyjej stronie się opowie – kobiet i mieszkańców, czy fundamentalistów z wuwuzelami.

IDALIA DUBICKA

To idzie młodość

Czarzasty kadry przewietrza

W podlaskim grajdołku mamy lewicową, aczkolwiek na razie gabinetową rewolucję. Pierwszym zastępcą wojewody podlaskiego, obok dotychczasowego, ciągle drugiego zastępcy w postaci działacza PSL, został 34-letni przewodniczący czarzastej lewicy w tym regionie.

To Arkadiusz Waszkiewicz, prawnik, osobisty syn Andrzeja, byłego radnego z Bielska Podlaskiego, w przeszłości funkcjonariusza SB i komendanta jednej z powiatowych komend policji na Białostocczyźnie.

Dotychczasowy wicewojewoda Paweł Krutul, beneficjent parytetu, zgodnie z którym wojewoda Jacek Brzozowski z KO musiał mieć obok ludowca kogoś z lewicy, rzucił legitymacją partyjną po tym, jak Donald Tusk go odwołał.

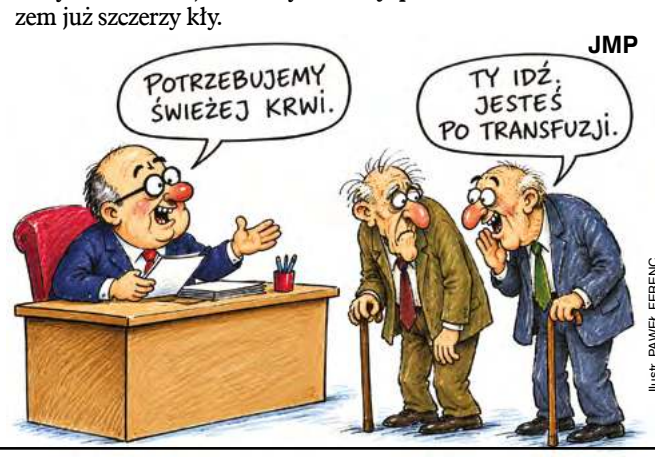
Dziwnie przy tym brzmią jego wypowiedzi dla lokalnych mediów: że o planowanej odstawce wiedział od marszałka sejmu już od sierpnia i się z tym z godnością oswoił. Gdyby tak bowiem było, ten były poseł, członek Nowoczesnej, potem Platformy Obywatelskiej, Wiosny Biedronia, a następnie Nowej Lewicy, nie odszedłby z ostatniej swojej partii tak demonstracyjnie.

Z drugiej strony patrząc, młody Waszkiewicz, który z 70 proc. poparcia wygrał prawie rok temu wybory na szefa regionu w partii Czarzastego, ma atuty, których brakuje 18 lat starszemu od niego Krutulowi. Cechuje go łatwość gadania, przy czym to gadanie osadzone jest na racjonalności, czego dowiódł kilka lat temu podczas kandydowania na stołek burmistrza rodzinnego Bielska Podlaskiego. Burmistrzem nie został, ale zaznaczył się w elektoracie jako młody gniewny, świeża krew na tle oczywistych i w zasadzie nijakich kandydatów z KO i PiS.

W przeciwieństwie do Krutula, który jest ulubieńcem podlaskiego trepowiska spod znaku wojska, policji i ABW – Waszkiewicz to raczej pacyfista, z lekkim przechyłem w stronę zełenskiej Ukrainy.

Jako nominalny prawosławny, ma też sympatię mniejszościowego kleru i o jego dobrostan zadba na pewno. Co mu z pewnością pomoże, gdyby zechciał w 2029 r. powalczyć z klanem Truskolaskich o prezydenturę Białegostoku. Albo za rok w wyborach do sejmu. Wszystko więc przed nim i lokalne Razem już szczerzy kły.

JMP



Ilustr. PAWEŁ FERENC

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ ABW triumfalnie schwytało 17-letniego Pawła G., który zamiast tracić czas na masturbację i gry wideo, postanowił zostać polskim Breivikiem w krótkich spodenkach. Prokuratura z namaszczeniem godnym tropienia siatki Al-Kaidy zarzuca mu planowanie rzezi w szkole i meczecie. W pokoju młodzieńca obok podręczników znaleziono bagnety, noże i faszystowskie obrazki – taki zestaw małego nazisty. Chłopak w sieci negocjował zakup granatów i koktajli Mołotowa ze swobodą, jakby zamawiał pizzę. Nie przyznaje się do niczego.

▮ Zakopane na trzy miesiące przed sylwestrem jest już niemal wyprzedane. Za trzy noce w pokoju z widokiem na Giewont pewien hotelarz zażądał 66 tys. zł. To cena za luksus patrzenia na góry, które od wieków stoją w tym samym miejscu i nic z tego nie mają. Najpiękniejszym detalem tej oferty jest jednak śniadanie za dodatkowe 49 zł. Przy rachunku na 66 patyków żądanie pięciu dych za jajecznicę to dowód, że góralska pazerność nie zna granic. Za taką kwotę to nie gość powinien patrzeć na Giewont, ale Giewont powinien rano zapukać do drzwi, przynieść kawę do łóżka i zapytać, czy jaśnie państwo nie życzą sobie, by przesunąć Tatry o kilka metrów w lewo, żeby słońce nie raziło w oczy.

▮ UOKiK uznał, że największe hurtownie farmaceutyczne w Polsce przez ponad 10 lat wymieniały poufne informacje o cenach, sprzedaży i warunkach oferowanych aptekom, ograniczając w ten sposób konkurencję. Według urzędu porozumienie mogło prowadzić do wyższych cen dla pacjentów. Prezes UOKiK za zawyżanie cen medykamentów w rezultacie zmowy nałożył na cztery spółki kary o łącznej wartości prawie 905 mln zł. Żeby tę karę zapłacić, spółki będą teraz musiały podnieść ceny leków, bo prawie miliard to nie w kij dmuchał. Gdzie tu sens, gdzie logika?

▮ Bielsko-Biała, miasto dotychczas kojarzone głównie z produkcją małych Fiatów i kreskówek, doczekało się bohatera na miarę naszych czasów. Na ul. Międzyrzeckiej objawił się obywatel w stroju Adama, ale z wyposażeniem godnym rzeźnika – dzierżył maczetę, którą z furią okładał przejeżdżające samochody. Policja, zamiast docenić tę minimalistyczną formę performance'u, potraktowała artystę paralizatorem elektrycznym, kończąc spektakl w sposób, nomen omen, elektryzujący.

eprasa.pl 8821106aca

Nasze państwo jest jak nasza kolej

Miliony w rękach maszynistów



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Zacznę podniośle od parafrazy Winstona Churchilla: „Nigdy tak wielu nie powierzało swojego życia tak nielicznym". Bo trudno znaleźć w Polsce drugi zawód, którego przedstawicielom tak nieprzeliczone tłumy tak często oddawałyby w ręce własne bezpieczeństwo. W ubiegłym roku polska kolej przewiozła blisko 440 mln pasażerów. Maszynistów mamy około 12,5 tys., ale tych, którzy wożą ludzi, a nie węgiel i cysterny, jest mniej więcej 5600. Prosta arytmetyka daje wynik: na jednego maszynistę pasażerskiego przypada statystycznie 78 375 podróżnych rocznie.

Wyobraźcie teraz sobie tego nieszczęśnika: siedzi sam w kabinie, za nim setki ton rozpędzonego żelastwa oraz tłum ludzi marzących o ciepłej kolacji. Pod ręką hamulec, który potrzebuje kilometra, żeby przekonać pociąg do zmiany zdania. To nie jest zawód, to wyrok w zawieszeniu. W kraju, gdzie nikt za nic nie odpowiada, maszynista jest ostatnim bastionem brutalnej logiki: jak nie wyhamuje, to zabije.

Koziołek ofiarny w Karpaczu

No i teraz będziemy mieli pewien dylemat poznawczy, bowiem w Karpaczu pod hasłem „Silna Kolej. Silne państwo" minister od kolei Dariusz Klimczak ogłosił, że tory to fundament suwerenności. Perorował o „prawdziwym renesansie", rekordowej liczbie pasażerów, nowych pociągach, modernizowanych liniach i dziesiątkach miliardów złotych inwestycji. Na dowód, że sukces jest ostateczny, odebrał tytuł „Człowieka Roku 2026". Kolej silna, państwo potężne, minister nagrodzony. Wszystko jedzie we właściwym kierunku, przynajmniej na papierze i w blasku fleszy.

Dla pana ministra musiało być zatem pewnym zaskoczeniem, że zaledwie dzień po karpaczowskich fetach, w Sokolnikach Suchych koło Przysuchy, pociąg PKP Intercity „Koziołek" do Szczecina zderzył się na przejeździe z betoniarką. W pociągu znajdowało się co najmniej 114 osób, w tym załoga. Uderzenie było na tyle silne, że wykoleiła się lokomotywa i dwa pierwsze wagony. Osiem osób przewieziono do szpitali, jedna z pasażerek zmarła. Ranni zostali również członkowie obsługi pociągu: do szpitala trafił m.in. maszynista. Na miejscu, zamiast kuluarowych pochlebców, pracowało blisko 30 zastępów straży pożarnej.

Co gorsza, trzy dni po tej pięknej uroczystości, a dwa po katastrofie, Związek Zawodowy Maszynistów Kolejowych wszczął akcję protestacyjną. Jej głównym nurtem były postulaty dotyczące bezpieczeństwa ruchu, stanu infrastruktury i urządzeń, a także przeciążenia obowiązkami podczas prowadzenia pociągu i przemęczenia wynikającego z grafików. Maszyniści domagają się nawet ustawowego uregulowania czasu pracy. I co w naszych realiach niemal niespotykane, w postulatach nie było żadnego żądania podwyżek.

Pociągokilometry trupów

To jest oczywiście kopniak w mózg każdego rozsądnego człowieka, który po takim zestawieniu musi sam siebie zapytać: jak jest naprawdę? Z jednej strony państwo potrafi bardzo przekonująco opowiadać o sprawności systemu. Z drugiej strony ludzie siedzący najbliżej tej machiny – maszyniści, którzy codziennie widzą tory, przejazdy i nędzę sygnalizacji – wychodzą z protestem i mówią: z bezpieczeństwem nie jest tak dobrze, jak wynika z oficjalnych prezentacji. Sprawdźmy zatem, co kryje się pod ministerialnym lakierem.

Statystyka to najpiękniejsza z nauk, bo pozwala każdemu ministrowi poczuć się demiurgiem, a każdemu trupowi stać się zaledwie ułamkiem w tabelce. Minister infrastruktury ogłosił, że kolej jest bezpieczniejsza niż kiedykolwiek. I ma rację – o ile jesteś pociągiem. Jeśli jednak masz nieszczęście być człowiekiem w samochodzie, sprawa wygląda nieco mniej różowo, a bardziej krwiście. Urząd Transportu Kolejowego podaje 1,59 wypadku na milion pociągokilometrów, co jest triumfem biurokracji nad rzeczywistością. To tak jakby chwalić się, że w rzeźniach drastycznie spadła liczba zgonów wśród rzeźników, pomijając milczeniem los inwentarza.

Pociągi mkną bezpiecznie, bo są wielkie, ciężkie i mają pierwszeństwo wynikające z praw fizyki. Prawdziwa zabawa zaczyna się jednak na przejazdach kolejowych, tych 11 908 ołtarzach, na których Polak składa codzienną ofiarę ze swojego pośpiechu i głupoty.

Średnio co dwa dni ktoś na torach postanawia sprawdzić, czy stalowa masa pociągu ustąpi pierwszeństwa jego ambicjom. Wynik tego eksperymentu jest zazwyczaj jednostronny i ostateczny. W 2025 r. 52 osoby zakończyły rokowania z życiem. To dowodzi, że polski kierowca traktuje znak stop jedynie jako sugestię, a krzyż św. Andrzeja jako dekorację sakralną, która ma go chronić mocą nadprzyrodzoną, skoro hamulce zawiodły.

Kategoria D jak do piachu

Szczególnie urocza jest kategoria przejazdów kolejowych zwana D. To takie miejsca, gdzie państwo mówi obywatelowi: „Masz tu kawałek deski wbitej w ziemię i radź sobie sam". To darwinizm w czystej postaci, wsparty polską fantazją. Skoro 57,5 proc. całej „przejazdowej jatki" odbywa się właśnie tam, to znaczy, że instynkt samozachowawczy narodu jest w stanie głębokiej hibernacji. Polak na przejeździe kategorii D czuje się jak husarz. Nie patrzy na boki, tylko gna przed siebie, wierząc, że jakoś to będzie. Otóż nie jest. Jest 15,6 proc. więcej trupów rok do roku. To się nazywa dynamika wzrostu, której minister wolałby nie zauważać.

A automatyczny system egzekwowania przepisów na przejazdach kolejowo-drogowych RedLight? Pięć kamer i 12 tys. naruszeń. 34 szaleńców dziennie w zaledwie pięciu punktach kraju uznaje, że czerwone światło to tylko taki jaskrawy odcień nadziei.

Jak jest naprawdę? Kolej w istocie jest nowocześniejsza i bezpieczniejsza, a mimo to zachowała miejsca i mechanizmy, w których bezpieczeństwo nadal zależy od człowieka bardziej, niż chcielibyśmy przyznać. Minister ma swoje wykresy, a rodziny ofiar mają swoje wieńce. Oba te obrazy są prawdziwe, tyle że jeden służy do brania premii, a drugi do kopania dołów. W 2026 r. nic się nie zmieniło. Do sierpnia mamy już 138 wypadków. Polak wciąż uważa, że pociąg to tylko większy samochód, który na pewno zdąży wyhamować przed jego geniuszem.

Smród potu i blask orderów

Gdyby problemem byli wyłącznie samobójcy w Passatach, maszyniści mogliby po prostu zainstalować sobie w kabinach liczniki punktowe. Ale sprawa ma drugie dno, znacznie bardziej śmierdzące niż pot pasażera w drugiej klasie. Ci ludzie, którzy trzymają rękę na nastawniku, widzą to, czego minister nie dostrzega z tylnego siedzenia limuzyny.

Maszynista to nie jest dumny kapitan lądowego statku, tylko przemęczony galernik, któremu dorzuca się obowiązków, jakby miał osiem rąk i trzy mózgi. Ma prowadzić pociąg, wypełniać kwity, śledzić usterki i modlić się, by tory pod nim się nie rozeszły.

To nie są grafiki pracy. To są eksperymenty na żywym organizmie, sprawdzające, ile kawy i adrenaliny potrzeba, by nie zasnąć. Maszyniści nie prosili o grubszy zderzak, oni proszą o prawo do bycia człowiekiem, a nie biologicznym dodatkiem do maszyny. Człowiek siedzący na samym przodzie pociągu nie tylko odpowiada za pasażerów. Bywa także ostatnim czujnikiem bezpieczeństwa.

Dwa miesiące temu mieliśmy klasyczny dowód tej prawdy na trasie do Krynicy pod Wierchomlą. Maszyna pomiarowa stwierdza „próg działań bezpośrednich", co w języku ludzi oznacza: „zaraz się rozleci". Maszynista, naiwnie wierząc w procedury, alarmuje. Przybywa toromistrz, rzuca okiem – zapewne fachowym i sennym – i orzeka: „jechać, nie marudzić". Siedem godzin później 10 wagonów PKP Cargo postanawia zażyć kąpieli w Popradzie.

To wzorcowa ilustracja tego, co na kolei nazywa się organizacją bezpieczeństwa: urządzenie ostrzega, człowiek lekceważy, a grawitacja wygrywa. Fakt, że wagony były puste, to jedyny powód, dla którego minister nie musiał wkładać czarnego krawata i udawać smutku przed kamerami. Ta rzeczna kąpiel taboru tłumaczy, dlaczego maszyniści, patrząc na optymistyczne słupki w ministerstwie, czują jedynie chłód w lędźwiach. Statystyka nie tonie w rzece, pociągi – owszem. Gdy rzeczywistość mówi „sprawdzam", ministerialne wykresy nadają się już tylko do podcierania tyłków w wagonach drugiej klasy, o ile oczywiście nie ma tam papieru w rolkach.

ROBERT JARUGA

▮ Prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego Sławomir Broniarz donosi, że polska szkoła to pedagogiczna geriatria. Na 627 tys. nauczycieli aż 200 tys. ma już prawo do emerytury, a średnia wieku dobija pięćdziesiątki. Młodzi stanowią zaledwie 3 proc. kadry. Powód tej ucieczki od tablicy jest rzekomo nader przyziemny: 5308 zł brutto dla początkującego nauczyciela w 2026 r. A nam się wydaje, że chodzi o coś innego – podobnie jak we współczesnym kapłaństwie – o brak powołań. W erze TikToka rodzi się coraz mniej przywódców duchowych i intelektualnych. Taka prawda.

▮ 19 września anonimowy obywatel udowodnił, że najkrótsza droga do wielkiej fortuny prowadzi przez kliknięcie myszką we własnej sypialni. Trafił szóstkę w Lotto wartą blisko 45 mln zł, grając systemem za 420 zł. Dzięki matematycznej zachłanności systemu zgarnął nie tylko główną pulę, ale i naręcze piątek oraz czwórek, jakby te 45 mln to było wciąż za mało na waciki. Prawdziwy idol współczesnej Polski: człowiek, który wzbogacił się, nie wstając z kanapy i nie brudząc sobie rąk żadnym wysiłkiem intelektualnym czy fizycznym. Nazwiska, co zrozumiałe, nie podano.

▮ Szpital Czerniakowski w Warszawie postanowił uzdrowić swoje finanse kosztem 40 opiekunów medycznych, których właśnie pogoniono z pracy. Ta rzeź personelu ma przynieść 3 mln zł oszczędności niezbędnych, by opłacić lekarzy, bez których ten medyczny kramik przestałby się kręcić. Ratusz, jak to ma w zwyczaju, rżnie głupa i zaprzecza, by wydawał jakiekolwiek instrukcje, choć podobne czystki wiszą już nad Szpitalem Wolskim i Grochowskim. Obowiązki zwolnionych spadną na urobione po łokcie pielęgniarki i salowe, co wywołuje zrozumiały jazgot związkowców. Pacjenci o tym, że zostali na lodzie, dowiedzą się tradycyjnie ostatni – gdy zabraknie rąk do podania basenu.

▮ Pod Malborkiem wojsko bawiło się w chowanego z duchem. Coś nadleciało od strony Królewca, poruszało się z prędkością wiatru i zniknęło z radarów – poinformował ppłk Jacek Goryszewski, rzecznik prasowy Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych, w skrócie DORSZ. Oddziały Wojsk Obrony Terytorialnej przeczesały okoliczne krzaki, choć dowództwo podejrzewało, że ścigały stado ptaków albo anomalię pogodową. To doprawdy wzruszające: armia, radary i śmigłowce zostały postawione na nogi, by sprawdzić, czy polskiego nieba nie naruszyła przypadkiem zbłąkana gęś. Taki mamy poziom zagrożenia, że nawet chmura budzi lęk u generałów.

▮ Sosnowiec, miasto będące od lat synonimem egzystencjalnej depresji, postanowił kupować sobie przyszłość na raty. Za trzeciego i każdego kolejnego bachora magistrat oferuje 10 tys. zł. To taka lokalna premia za wytrwałość w rozpłodzie, pod warunkiem że rodzic legitymuje się aktywną kartą miejską. Widocznie urzędnicy uznali, że bez biletu miesięcznego w kieszeni nie da się spłodzić pełnowartościowego podatnika. Inwestycja ma się zwrócić za ćwierć wieku, co w polskich realiach jest czystym science fiction. Zanim ten noworodek zacznie zasilać kasę miasta, zdąży ją dziesięć razy wydrenować, korzystając z darmowych szkół i przychodni. Sosnowiec płaci więc za produkcję ludzi, którzy – jeśli tylko wykażą się odrobiną inteligencji – uciekną stamtąd zaraz po maturze.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

▮ Media w przypływie nagłej cnotliwości grzmią o pladze pijackich zwolnień. W pierwszym półroczu 2026 r. lekarze wystawili 4,7 tys. L4 z powodu nadużycia alkoholu, co dało 46 tys. dni narodowego leczenia kaca. Najczęściej „chorują" panowie w sile wieku z Mazowsza, co dowodzi, że w stolicy pije się z największym rozmachem. Państwo mści się na nich, odmawiając zasiłku za pierwsze pięć dni, jakby ból istnienia po spożyciu nie był wystarczającą karą. W kraju, gdzie 11,5 mln ludzi pracuje, a każdy statystyczny Polak wlewa w siebie blisko 9 litrów czystego spirytusu rocznie, robienie afery z garstki niedysponowanych obywateli to hipokryzja. To nie jest problem społeczny, lecz ordynarny atak na mniejszość.

▮ Od 1 stycznia 2027 r. państwo polskie postanowiło dobić tych nieszczęśników, którzy piją piwo bez piwa. VAT na napoje 0,0 proc., bezalkoholowe cydry i odwirowane z grzechu wina skacze do 23 proc. Skoro obywatel ma czelność odmawiać sobie procentów, fiskus nie zamierza odmawiać sobie haraczu. Już dziś te płyny do płukania gardła kosztują tyle, co prawdziwy trunek, a po podwyżce różnica cenowa zniknie zupełnie, czyniąc abstynencję sportem luksusowym.

▮ W Starym Opolu policjant z Węgrowa, choć po służbie i w cywilu, nie zdołał stłumić instynktu i zatrzymał Citroëna. Za kółkiem siedział 37-letni Białorusin z Siedlec: 1,5 promila we krwi i zero uprawnień. Szofer trafił za kraty, a funkcjonariusz udowodnił, że z policji się nie wychodzi. To nie zawód, to nieuleczalna skaza na charakterze. Taki los.

▮ W gminie Długołęka policja ujęła 69-letniego buntownika na motocyklu, który przekroczył prędkość o zawrotne 25 km/h. Gdy przyszło do płacenia 300 zł mandatu, staruszek wykazał się ułańską fantazją i zaproponował funkcjonariuszom dwie stówy do kieszeni. Teraz, zamiast cieszyć się wiatrem we włosach, może spędzić dekadę za kratami. Państwo w swej nieskończonej mądrości gotowe jest wydać blisko 800 tys. zł na utrzymanie go w celi, byle tylko ukarać próbę wręczenia łapówki o wartości marnego banknotu z Zygmuntem Starym. To się nazywa sprawiedliwość: podatnik zapłaci milion, żeby dziadek nie zaoszczędził 100 zł.

▮ Najnowszy Eurobarometr potwierdza to, co podejrzewałem od dawna: Polacy to naród o wyjątkowo trzeźwym podejściu do biologii. Aż 61 proc. z nas nigdy nie skalało się sportem, co daje nam zaszczytne czwarte miejsce od końca w Unii Europejskiej. Podczas gdy w Finlandii czy Danii co piąty obywatel katuje się codziennymi ćwiczeniami, u nas do tej formy masochizmu przyznaje się zaledwie 4 proc. populacji. Jesteśmy pod tym względem europejskim dnem, które dzielimy z Bułgarami, Włochami i Portugalczykami. Średnia unijna lenistwa wynosi 39 proc., co dowodzi, że Polska jest forpocztą kontynentalnego bezruchu.

RJ

PS Powyższe wieści, pozyskane ze źródeł uznawanych zwyczajowo, obyczajowo oraz incydentalnie za wiarygodne, w szczególności z mediów regionalnych, mogą pozostawać w związku z rzeczywistością, pozostawać z nią w związku częściowym, luźnym, pośrednim albo nie pozostawać z nią w związku żadnym, czego redakcja nie wyklucza ani nie potwierdza. W każdym razie odpowiedzialności za to nie bierzemy.

eprasa.pl 8821106aca

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ ***To działanie, żeby wyrugować, wyrzucić wymiar chrześcijańskiej edukacji, jest skazane na niepowodzenie. Niestety niepowodzenie będzie dotyczyło nie tylko tych, którzy to próbują zrobić, ale również nas i wszystkich Polaków.*** *Polska jest osadzona na gruncie chrześcijańskim. Nikt o zdrowych zmysłach nie powie: „Zabijaj, kradnij, poniewieraj matkę”.* ***Musimy pamiętać, skąd wziął się Dekalog, skąd go mamy. Musimy pamiętać o przypowieściach ewangelicznych, jak pokazana jest konstytucja człowieka, jak należy utkać człowieka z miłości.***

prof. Aleksander Nalaskowski, TV Trwam, 23 września

■ ***W tej chwili jeszcze bardziej wpływ mediów jest zauważalny, bo mamy internet, cyfryzację – to wszystko może być dobre lub złe, zależy w czyich rękach jest. Jeżeli media są w rękach ludzi niemoralnych, niemówiących prawdy, ludzi, którym daleki jest Pan Bóg, to robią dużo zła zarówno dla rzeczywistości ziemskiej, jak i dla naszej wieczności. Media laickie mają potężne środki i są uzbrojone po zęby jak Goliat.*** *(…)* ***Trzeba wiedzieć, jak działają media, że ludzie są zbałamuceni.*** *100 lat temu, gdy powstawał Tygodnik Katolicki „Niedziela”, nie było radia, nie było telewizji, nie było internetu. Teraz widzimy, jak ludzie idą z telefonami w ręku, patrzą w ekran i ciągle coś czytają albo oglądają, a to wszystko kształtuje ich świadomość, kształtuje ich hierarchię wartości oraz ich życie.* ***Trzeba to wiedzieć i tym bardziej wspierać media katolickie.***

o. Tadeusz Rydzyk, Radio Maryja, 18 września

■ *Coraz głębszy kryzys demograficzny dotyka nie tylko Polski, ale całego świata.* ***Jego przyczyny nie leżą w ekonomii ani socjologii, ale w duchowej zapaści świata skoncentrowanego na własnej wygodzie i używaniu życia. (…) O homoseksualizacji młodego pokolenia i feminizacji chłopców wspomnieć nie trzeba – wszyscy to widzimy. Jeszcze straszniejsze jest to, że niektórzy młodzi nie chcą być już ludźmi i próbują transformować się w zwierzęta. (…) Zwróćmy uwagę, że problemy psychiczne dzieci zbiegają się z ich nieobecnością na lekcjach religii. Nowe pokolenie pozbawione jest Boga i jakiegokolwiek fundamentu duchowego. (…) Co im proponuje się w zamian? Ideologię LGBT, ekologizm itp.***

br. Damian Wojciechowski SJ, Opoka.org.pl, 22 września

■ ***W świecie, który zwariował oraz leci w przepaść na łeb i szyję Biblia, chrześcijaństwo i Kościół to mocne opory, aby nie dać się zwariować i nie runąć ze stadem świń ze skarpy w odmęty otchłani.*** *(…) To Kościół niesie przez historię słowa Prawdy i przez wieki wskazuje nam drogę do szczęścia, broniąc przed mirażami różnych bożków, demagogów i ideologii.*

dalej Wojciechowski

■ *Rozpad rodziny jest obecnie bardziej tragiczny niż w jakimkolwiek innym okresie historii.* ***Czy nie jest przypadkiem tak, że zamiast wesprzeć samotną matkę, oferuje się jej zabicie dziecka? Zamiast wspierać rodziców w trudnych sytuacjach – jak chociażby ostatnio – zabiera się im dzieci. Zamiast wspierać młodych w decyzji o małżeństwie, wspiera się wszelakie związki, tylko nie małżeńskie. Gdy wymieramy i rodzi się nas mniej, niż umiera, namawiamy do różnych adopcji, tylko nie dzieci.*** *(…) Świat demontuje obraz małżeństwa i rodziny, ale w ten właśnie sposób dokonuje samounicestwienia.* (…) ***Siedemdziesiąt lat temu w tym właśnie miejscu, przy ponad milionowej rzeszy, złożono Jasnogórskie Śluby Narodu Polskiego. Ktoś nazwał je Polską Kartą Praw Człowieka. To właśnie w niej małżeństwo zostało przypomniane jako skarb, a jego nierozerwalność jako warunek szczęścia rodzinnego domu.***

abp Zbigniew Zieliński, homilia Jasna Góra, 27 września



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Jarosław, Polskę zbaw!

Krzyż i tryzub

Tragedia w klasztorze w Jarosławiu dała paliwo wszystkim. Paliwo tanie, w przeciwieństwie do tego na stacjach benzynowych. Ponieważ jeden ksiądz stracił życie, a drugi wygłosił kazanie, które rozeszło się po świecie, różne frakcje kościelne i polityczne mają pożywkę dla potwierdzenia, że ich racja jest najichniejsza.

Tuż po szaleńczym i morderczym ataku Ihora M. w Opactwie Sióstr Benedyktynek przemówiła do mediów jego szefowa s. Barbara Dendor. Nie tylko opowiedziała, co się stało, ale też wygłosiła interpretację tych wydarzeń. „Uważam, że to jest zamach na naszą tożsamość, na to, kim jesteśmy, co tutaj robimy, kogo reprezentujemy. Jest tutaj wiele dobra, więc tym większy jest ból” – stwierdziła przeorysza. W domyśle: to atak na polskość i katolicyzm, nierozerwalnie ze sobą związane. Choć nie było wówczas nic wiadomo o motywach napastnika, śledczy dopiero zaczynali robotę – mniszce to nie przeszkadzało. Żaden z obecnych dziennikarzy nie zareagował, w końcu stało się takie nieszczęście, że każdemu może się w głowie pomieszać.

Tę narrację szybko podchwycili inni, żądni potwierdzeń własnych poglądów. Niejeden duchowny marzy o pluszowym męczeństwie: być Popiełuszką, ale nie uronić kropelki krwi. Śmierć ks. Stanisława Zbojnowicza stworzyła rzadko spotykaną szansę na wybicie się. Związany ze środowiskiem „tradycji katolickiej” (wielbicieli mszy po łacinie) ksiądz z archidiecezji przemyskiej dołączył do grona prześladowanych duchownych. W mediach społecznościowych relacjonował: „Informuję, że przed chwilą na parkingu sklepu Dino w Przemyślu jakiś Ukrainiec zaczął mi grozić, krzyczeć do mnie po ukraińsku różne obraźliwe słowa oraz coś w stylu »*ebana czarna sukienko odwróć się do tyłu« i »zedrę z ciebie te adidasy«. Stojący obok ludzie zareagowali pełnymi nerwów spojrzeniami, ale ja poszedłem dalej bez zwracania na tego kogoś uwagi i bez patrzenia, kto to jest. Piszę o tym nie z powodu jakiegoś mojego »bohaterstwa», ale dlatego, że nie wolno udawać, że nic się nie dzieje”.



Rys. WIDGET

Coś się na pewno wydarzyło, bo ks. Bartosz swój wpis usunął, ale post zdążył się rozejść po sieci. Ukraińskie ataki na narodowe świętości, czyli księży, to nowy nabytek w katalogu prześladowań katolików. Dotychczas mieliśmy konflikt na tle narodowościowym, teraz doszedł kontekst konfesyjny.

Nie podłapał tej opowieści episkopat. Zarówno metropolita przemyski Adam Szal, szef episkopatu Tadeusz Wojda, jak i prymas Wojciech Polak wykorzystali okazję, by podkreślić swój humanizm wypływający z wiary. „Prośmy o dar pokoju, jedności i braterstwa, o opamiętanie dla tych, którzy zechcą wykorzystywać ludzkie dramaty dla własnych korzyści czy podżegać do nienawiści” – napisał Szal, a jego przesłanie podchwycili koledzy po piusce. Od pewnego czasu episkopat jest w swoich stanowiskach bezjajeczny, a prawicą zarzuca biskupom klękanie przed Żydami i Ukraińcami. Odkąd nie stało Jędraszewskiego, prawdziwi Polacy i katolicy nie mają swojej reprezentacji w hierarchii kościelnej.

Prawdziwą medialną furorę zrobił związany z jarosławskim opactwem ks. Adrian, także ofiara Ihora M.. Poturbowany, z bandażem na czole i widocznymi siniakami, po opuszczeniu szpitala wygłosił kazanie, które znowu podzieliło Polaków. Ksiądz, który w przeciwieństwie do swojego starszego kolegi przeżył atak Ukraińca, wezwał do postawy chrześcijańskiej, czyli przebaczenia. Sam przebaczył i innych poprosił o to samo. „Dlatego proszę was, abyście i wy przebaczyli, bo to również was wszystkich dotknęło. I z tego miejsca też chcę was prosić, abyście nie winili narodu, z którego był oprawca, bo zła dokonał konkretny człowiek, zła dokonała konkretna osoba, która ma swoje imię, swoje życie, która odpowiada za swoje czyny. Nie dokonali tego inni ludzie. To była jedna jedyna osoba” – tłumaczył owieczkom.

Ale Polacy to katolicy, a nie chrześcijanie, tu miłosierdzie nie jest w cenie. Księdza zaatakowali najwścieklej nie antyklerykałowie, ale ci, którzy się identyfikują jako najprawdziwsi katolicy. Ponieważ po prawej stronie silna jest niechęć do Ukraińców, ks. Adrianowi odebrano prawo do przebaczenia, zwłaszcza z cudzym imieniu. Prawdziwy ksiądz nie przebacza, zwłaszcza banderowcom.

Postawę tę wyraził redaktor naczelny tygodnika „Najwyższy CZAS!”, Tomasz Sommer, pisząc na platformie Elona Muska: „Szokująca głupota. Mamy przestępcę, który, poza własną decyzją, jest produktem określonych okoliczności, co gwarantuje powtarzalność zachowań i próbę zamknięcia tematu »przebaczeniem«. I jakiś pięknoduch, a w istocie idiota, pokrzywdzony przez przestępcę, mówi »ja mu przebaczam, więc nie szukajcie innych przestępców, bo to będzie nienawiść«. Otóż takie stanowisko jest tylko zachętą do kolejnych przestępstw. Bo przestępcy dowiedzą się, że mogą liczyć na pobłażliwość i szczególne traktowanie, więc łatwiej podejmą decyzję o popełnieniu przestępstwa.

Ksiądz powinien wybaczyć, ale prywatnie i nie chełpiąc się tym. Publicznie powinien wzywać do łapania wszystkich przestępców i likwidacji źródła przestępstw, a także ochrony nie dla przestępców, a przed przestępcami”.

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Owocem śmierci ks. Stanisława jest odroczona chwilowo decyzja o apostazji pani Magdaleny. Po wysłuchaniu kazania ks. Adriana kobietę naszła refleksja, że gdyby więcej było takich księży, to… Jej wpis także zrobił zasięgi. „Oniemiałam po przeczytaniu tego kazania.… oniemiałam ja, która właśnie szykuje dokumenty do apostazji. Takiego obrazu wiary, wyznania wiary ludzkość potrzebuje. Gdybym na takiego ojca trafiła w dzieciństwie, gdy zaczęto mnie indoktrynować... mniejsze spustoszenie by zaszło w mojej głowie. I tak odwróciłabym się od tej szkaradnej instytucji, której ten jeden piękny ksiądz by nie odmienił. Nie ma większego świadectwa wiary nad to właśnie kazanie księdza, dotkniętego bezpośrednio i okrutnie przez zbłąkanego grzesznika. ...Ksiądz Adrian wydłubał z mojej pamięci cytat z Norwida, który niosę od zdaje się I klasy liceum – »Z karafki napić się można, ale kto ze źródła pije, ten uklęknąć musi i pochylić czoła«... Nie umiem ubrać w słowa piękna i pokory, które odebrałam od tego człowieka. Niech jego źródlane słowa trafią do milionów...”.

Ponoć w niebie większa jest radość z jednego nawróconego grzesznika, niż z 99, którzy nie potrzebują nawrócenia. Jednakowoż zasztyletowanie księdza jako forma ewangelizacji jakoś niezbyt nas przekonuje.

MATT KOBOSKO

Czarny pies plebana

Pod sutanną jest najciemniej

Na polskich księży czyhają różnego rodzaju zagrożenia. Oprócz Ukraińców z nożem i kuszących do grzechu ministrantów duchowni narażeni są też na choroby cywilizacyjne, jak np. depresja. Wychodzi na to, że ksiądz też człowiek, choć większość z nich starannie to ukrywa. Księża – zwłaszcza ci starego chowu – nie lubią się porównywać ze zwykłymi śmiertelnikami, a okazanie słabości czy przyznanie się do choroby to dla nich gorsze niż ekskomunika. Ale idzie nowe.

Ludzką stronę kleru postanowiła udostępnić szerszemu gronu red. Monika Białkowska, opisując ich w książce „Bóg sam nie wystarczy. Reportaż o samotności i depresji księży”. Już sam tytuł jest bluźnierczy, bo to polemika ze stwierdzeniem św. Teresy z Ávili – jednej z najbardziej znanych mistyczek – że właśnie Bóg sam wystarczy. Chłopaki pokapowały się, że Bogiem ciężko zaleczyć wszystko, i choć wielu z nich uważa psychoterapeutów za szarlatanów (nie bez cienia racji), to coraz chętniej korzystają z dobrodziejstw medycyny, gdy ich własne gusła zawodzą.

Patrząc na coraz słabsze notowania Kościoła kat. w Polsce, ksiądz może łatwo złapać doła. Nic dobrego już ich w tym zawodzie nie spotka, a poczucie zmarnowanego życia nie sprzyja higienie psychicznej. Toteż w przestrzeni publicznej pojawiają się duchowni, którzy bez skrępowania opowiadają o swojej depresji. Księdzu z depresją łatwiej współczuć niż pedofilowi.

Szlak przetarł Edward Dajczak, emerytowany już biskup koszalińsko-kołobrzeski. Złożył rezygnację właśnie ze względu na depresję i stany lękowe, które zaczęły się u niego pojawiać po covidzie. „Na zewnątrz niewiele widać. Szedłem do ludzi, uśmiechałem się. To nie jest tak, że człowiek chodzi cały czas zasmucony, zasępiony. Kiedy widziałem, że to stan, który się powtarza, a ja nie jestem w stanie sobie z nim poradzić, poszedłem na rozmowę, zacząłem przyjmować leki, które stonowały sytuację. Ale trzeba sobie też pomagać, uciekać od skrajnych sytuacji powodujących stres, u mnie on pogłębiał zły stan” – tłumaczył w RMF FM. Podejrzewamy, że przenoszenie przestępców z parafii na parafię może być nieco depresjogenne.

Autorka książki o księżowskiej depresji przypuszcza zaś, że choroba ta bierze się ze specyficznego trybu życia kleru. „To jest cały zestaw zachowań, postaw, reakcji i sposobów funkcjonowania, który nie wynika z samego sakramentu kapłaństwa, ale z życia w pewnej grupie. Boję się użyć słowa »kasta«, ale ono trochę tutaj pasuje. Albo może nawet »getto«, w którym wiadomo, jak należy się zachowywać, a jak nie należy. To są absolutnie niepisane zasady. I właśnie dlatego tak mocno wpływają na człowieka, zwłaszcza w tej sferze, która dotyczy jego relacji z władzą. To właśnie tam stają się najbardziej toksyczne i najbardziej niszczące” – tłumaczy Białkowska w Onecie.

Wygląda na to że pracownicy korporacji „Kościół rzymskokatolicki” – podobnie jak wyrobnicy innych korpo – w pewnym momencie czują się wypaleni, poszukują zmiany i sensu życia.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Paradoksalnie, dla świeckich wypalonych świeckim życiem wymyślono seminaria „35plus”, gdzie dojrzali faceci mogą zacząć nową przygodę i zamiast oddawać swoje talenty i pracę bezdusznym korporacjom, oddać to samo korporacji dusznej od kadzidła.

U sąsiada trawa zawsze jest bardziej zielona. Duchowni w depresji nie mają przynajmniej problemów finansowych, które zwykłym ludziom spędzają sen z powiek. Wiadomo przecież, że lepiej płakać w Mercedesie niż na rowerze.

ŁUKASZ PIOTROWICZ

eprasa.pl 8821106aca



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Odwrócona rewolucja

Baseball to gra, której zasady są niezrozumiałe dla Europejczyków. Także ekonomiczne.

W amerykańskim baseballu szykuje się wojna pracodawców z pracownikami. Będzie to jedna z dziwniejszych wojen klasowych kapitalizmu.

Obecna umowa zbiorowa Major League Baseball (MLB) wygasa 1 grudnia 2026 r. Po jednej stronie negocjacyjnego stołu siedzą właściciele 30 klubów MLB i reprezentujący ich komisarz Rob Manfred. Po drugiej – MLB Players Association, jeden z najsilniejszych związków zawodowych w amerykańskim sporcie.

Spór dotyczy ogromnych pieniędzy, a pracodawcy i pracownicy jakby zamienili się na postulaty. Karol Marks potrzebowałby chwili, żeby zdecydować, po której stronie ma stanąć.

Europa: przegrałeś, to spadaj

Żeby zrozumieć ten paradoks, trzeba najpierw wyjaśnić, jak amerykański sport różni się od europejskiego.

W europejskiej piłce panuje kapitalizm w wersji dość drapieżnej. Masz więcej pieniędzy, kupujesz lepszych zawodników, płacisz im więcej i zazwyczaj wygrywasz częściej. Real Madryt, Manchester City czy Bayern Monachium nie mają obowiązku martwić się tym, że klub z mniejszego miasta nie może sobie pozwolić na podobne wydatki.

Na dodatek słaby klub może spaść z ligi. Traci wtedy pieniądze z telewizji, sponsorów i biletów, po czym może latami tułać się po niższych klasach rozgrywkowych, wspominając czasy świetności.

W ojczyźnie wolnego rynku system wygląda znacznie bardziej opiekuńczo.

NFL w futbolu amerykańskim, NBA w koszykówce i NHL w hokeju to ligi zamknięte. Nikt nie spada, nikt z drugiej ligi nie awansuje. Klub może być przez lata koszmarnie zarządzany, a jego miejsce w elicie jest bezpieczne.

System aktywnie pomaga słabszym. Istnieje draft, dzięki któremu gorsze drużyny mają uprzywilejowany dostęp do najlepszych młodych zawodników wchodzących do ligi. Istnieją również *salary caps*, czyli limity wydatków klubów na wynagrodzenia. Właściciel może mieć 50 mld dol., ale nie może po prostu wyjąć portfela i kupić dwa razy droższego składu niż konkurencja.

Do tego wspólnie dzielone są wielkie pieniądze z ogólnokrajowych transmisji i kontraktów reklamowych.

Najlepiej widać to w amerykańskim futbolu. Dallas Cowboys są jednym z najbogatszych klubów sportowych świata i działają na ogromnym teksańskim rynku. Kansas City Chiefs pochodzą z nieporównywalnie mniejszej i biedniejszej metropolii. Na boisku obowiązuje ich jednak ten sam limit płac, dzięki czemu w ostatnich latach to mali Chefs wygrywali tytuły.

Wszystkie te podejrzanie lewicowe zasady wprowadzili sami właściciele klubów. Amerykański miliarder ceni wolną konkurencję, dopóki nie musi konkurować z bogatszym miliarderem.

Baseball – rezerwat deregulacji

Na tym tle Major League Baseball jest wyjątkiem. Baseball przez dekady był najważniejszym sportem Ameryki. Dzisiaj NFL wyprzedziła go popularnością i pieniędzmi, ale MLB pozostaje gigantycznym biznesem. I jako jedyna z czterech głównych amerykańskich lig nie ma prawdziwego limitu wunagrodzeń.

Klub może wydać na zawodników właściwie tyle, ile chce. Istnieje tylko „podatek od luksusu” – za większe wydatki na zawodników klub płaci coraz większe kary. Jeśli Los Angeles Dodgers mają pieniądze, mogą zapłacić dodatkowy podatek, otrzeć łzy plikiem banknotów i kupić następnego świetnego zawodnika.

Dlatego różnice są ogromne. W 2025 r. Los Angeles Dodgers wydali na zawodników wraz z podatkiem od luksusu około 515 mln dol. Miami Marlins około 69 mln.

To mniej więcej tak, jakby jeden bokser dostał przed walką siedem razy większy budżet na przygotowania. Biedniejsze kluby wygrywają więc rzadko – ostatnio Kansas City Royals w 2015 r.

Świetnie pokazał to film „Moneyball”. Brad Pitt jako menedżer biednego klubu z Oakland zaczął wykorzystywać zaawansowane statystyki do wyszukiwania niedocenianych zawodników. Działało, ale tylko do chwili, gdy bogate kluby zorientowały się, że one również mogą zatrudnić Brada Pitta.

Na rywalizację między klubami nakłada się klasyczny konflikt pracodawca–pracownik.

MLBPA działa jako prawdziwy związek zawodowy od lat 60. i ma za sobą długą historię wojen z właścicielami. Dzisiaj reprezentuje ponad 1200 zawodników znajdujących się na 40-osobowych listach klubów MLB oraz ponad 5500 baseballistów lig niższych.

W szeregach MLBPA są ludzie z kontraktami wartymi setki milionów dolarów. Ale są też tysiące zawodników, którzy walczą o dostanie się do MLB, utrzymanie miejsca w składzie i zarobki nieporównywalnie mniejsze niż największe gwiazdy.

Miliarderzy za równością, związki za rynkiem

Właściciele MLB proponują od 2027 r. prawdziwy *salary cap* wynoszący około 245 mln dol. Żaden klub nie mógłby wydać więcej. Ale jednocześnie chcą *salary floor* – minimalnych wydatków na poziomie 171 mln. Czyli skąpy właściciel również nie mógłby wystawić drużyny tanim kosztem i czekać, aż pieniądze z ligi wpłyną na konto.

Według MLB, gdyby takie zasady obowiązywały już w 2026 r., 12 najmniej wydających klubów musiałoby zwiększyć wydatki łącznie o 617 mln dol. Osiem najdroższych musiałoby ściąć swoje o 578 mln.

Do tego liga chce głębiej dzielić przychody, w tym lokalne wpływy medialne, które są jednym ze źródeł ogromnej przewagi klubów z takich rynków jak Los Angeles czy Nowy Jork.

Komisarz Manfred i właściciele mogą więc przedstawić program tak: bogaci mają za dużą przewagę, biedni dysponują zbyt małymi środkami, trzeba redystrybuować dochody, ograniczyć górę i podnieść dół.

Gdyby zamiast „Los Angeles Dodgers” wpisać „najbogatsze korporacje”, program zacząłby niepokojąco przypominać manifest wyborczy europejskiej lewicy.

MLBPA odpowiada: nie zgadzamy się na *salary cap*. Jeżeli Dodgers chcą zapłacić zawodnikowi 50 albo 60 mln dol. rocznie i ich na to stać, liga nie powinna ustalać maksymalnej ceny jego pracy. Niech zdecyduje rynek.

Z drugiej strony związek zgadza się na zmuszenie skąpych klubów do wydawania większych pieniędzy na drużynę. Domaga się również podniesienia minimalnej pensji zawodnika MLB.

Chce nawet specjalnego podatku dla klubów, które wydają na zawodników za mało.

Stanowisko MLBPA można więc streścić: nie przeszkadza nam, że Dodgers wydają 400 mln dol. Przeszkadza nam, że ktoś inny wydaje 80 mln.

Właściciele odpowiadają: chcemy zabronić jednego i drugiego. I właśnie o to toczy się wojna.

Ohtani, Judge i 765 milionów Soto

Najlepiej widać ją na przykładzie największych gwiazd.

Najlepszy baseballista na świecie Japończyk Shohei Ohtani podpisał z Dodgers dziesięcioletni kontrakt o nominalnej wartości 700 mln dol. Juan Soto poszedł jeszcze dalej: New York Mets zagwarantowali mu 765 mln dol. przez 15 lat. Nowy system proponowany przez MLB praktycznie zamknąłby drogę do podobnych kontraktów w przyszłości.

Następny Ohtani nadal nie musiałby martwić się ratą za dom. Nie dostałby jednak kontraktu Ohtaniego.

Dlaczego przeciętny gracz broni fortuny Ohtaniego?

I tu pojawia się najlepszy argument właścicieli.

Po co zawodnikowi zarabiającemu minimum ligowe bronić prawa Soto do 765 mln dol.? MLB twierdzi, że przy *salary cap* połączonym z obowiązkowym minimum wydatków pieniądze zostałyby rozdzielone bardziej równomiernie. Największe gwiazdy straciłyby część siły negocjacyjnej, ale średnia klasa zawodników mogłaby skorzystać.

MLBPA odpowiada, że rekordowe kontrakty są lokomotywą całego rynku. Ohtani ustala nową cenę supergwiazdy. Następny świetny zawodnik porównuje się z Ohtanim. Dobry zawodnik porównuje się z tamtym. I tak ceny pracy przesuwają się w górę.

Związek wychodzi więc z bardzo prostego założenia: jeżeli pracodawca jest wystarczająco bogaty, żeby przepłacić pracownika, nie należy go przed tym chronić.

Strajk właścicieli

Jeżeli do 1 grudnia nie będzie nowej umowy, możliwy jest lockout. To nie zawodnicy powiedzą wtedy: nie pracujemy. To właściciele powiedzą: nie wpuszczamy was do pracy.

Może więc dojść do jednej z najdziwniejszych wojen pracowniczych współczesnej Ameryki. Po jednej stronie

30 właścicieli klubów wartego miliardy przemysłu będzie tłumaczyło, że nierówności są zbyt wielkie, bogaci mają za dużo, biedni za mało, więc trzeba centralizować przychody, redystrybuować pieniądze i ustanowić maksymalny poziom wydatków.

Po drugiej stronie stanie związek zawodowy i będzie krzyczał: nie ograniczajcie wolnego rynku. Tak, baseball to dziwny sport.

LEON ORŁOWSKI

Ile warta jest matka piłkarza?

Uboczne skutki chorych pieniędzy w futbolu

Wydawałoby się, że porwania dla okupu to coś ze starych filmów sensacyjnych. Jednak w ostatnim okresie zdarzały się takie przypadki wśród rodzin popularnych piłkarzy. Piłka nożna to najpopularniejszy sport świata, od kilku dekad wartość zawodników, praw do transmisji czy samych biletów rośnie w niespotykanym wcześniej tempie. Jest to kapitalizm na sterydach. Nie widać końca podnoszenia cen, a gawiedź złakniona emocji wydaje się tym niewzruszona i potrafi nawet zapożyczyć się na lata, aby zobaczyć na żywo ważny mecz swojej drużyny. Kibice podziwiają stawki za kontrakty, które są monstrualnie wyolbrzymione. Wyobraźnia pracuje.

W XX w. miały zdarzały się porwania piłkarzy – jak w przypadku Quiniego, który został uprowadzony w 1981 r., a następnie przetrzymywany przez 25 dni w podziemnej komórce. Co ciekawe, po ujęciu sprawców, Quini wycofał prywatny akt oskarżenia ze względu na motywy porywaczy, których do przestępstwa popchnęła nędza.

W XXI w. porywani są głównie członkowie rodzin gwiazd sportu, bo sami zawodnicy o wiele bardziej dbają o swoje bezpieczeństwo, zatrudniają ochroniarzy i po prostu nie pokazują się wśród zwykłych śmiertelników.

Znamiennym przypadkiem była abdukcja matki znanego brazylijskiego zawodnika – Robinho w 2004 r. Mimo zaleceń policji, piłkarz postanowił zapłacić 80 tys. dol. okupu, a jego rodzicielka została wypuszczona na wolność. Był on krytykowany w ojczyźnie za ten ruch, gdyż w krótkim czasie nastąpiła cała seria porwań osób najbliższych sportowcom z kraju kawy, którzy zarabiali w Europie poważne pieniądze.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

John Obi Mikel to znany nigeryjski zawodnik. Jego ojciec był porywany dwukrotnie, w 2011 oraz 2018 r. W obu przypadkach rodzina zapłaciła żądany okup, a mężczyzna po doświadczeniu tortur wrócił do domu.

W 2023 r. w kolumbijskim Barrancas porwano matkę oraz ojca znanego piłkarza Luiza Díaza. Kobieta została uwolniona przez policję tego samego dnia, lecz mężczyzna przetrzymywany był 12 dni w dżungli. Nie uzyskano okupu, człowieka odstawiono do miasta, a policja zatrzymała kilku organizatorów akcji.

Innym ciekawym aspektem są rabunki biżuterii i innych kosztowności z domów piłkarzy. Tutaj działa prosta zasada. Każdy może w kilka sekund sprawdzić, kiedy danego zawodnika nie będzie w domu. Terminarze zawodów i treningów są powszechnie dostępne. Ponadto aktywność w mediach społecznościowych, przechwałki drogimi zegarkami, ukazywanie wnętrz domów – to czynniki, które znacznie ułatwiają, a często wręcz zachęcają do zuchwałych kradzieży.

W kilku ostatnich latach ofiarami napadów rabunkowych padli m.in. polscy piłkarze Łukasz Skorupski, Piotr Zieliński czy Jan Bednarek, co pokazuje, że problem nie ogranicza się do krajów latynoskich (kradzieże miały miejsce kolejno we Włoszech i Portugalii). Służby w wielu krajach Europy posiadają specjalne komórki do rozpracowywania tego typu grup przestępczych. W Polsce jeszcze nie zarejestrowano podobnych przypadków, lecz biorąc pod uwagę stale rosnące zarobki futbolistów, jest to zapewne tylko kwestia czasu.

Oderwane od rzeczywistości, horrendalnie wysokie kontrakty sprawiają, że celem przestępców stają się piłkarze oraz ich rodziny. Nie można usprawiedliwiać gangsterów, ale warto zastanowić się nad tym, w którą stronę to wszystko zmierza. Być może to kibice powinni w końcu zbuntować się i powiedzieć „stop” wciąż rosnącym cenom w tej kapitalistycznej hucpie zwanej profesjonalną piłką nożną.

MARCIN SMOLAK

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 30.09.2026 r.

„NIE” w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl 8821106aca

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Adrian Zandberg, współprzewodniczący partii Razem, pogwizdywał z cicha i tylko on wiedział, że jest to nowy przebój Taylor Swift.

Życie jest piękne, myślał wesoło, czując w lędźwiach siłę tura. Miał wrażenie, że mógłby teraz przenieść jakąś górę albo napisać jakiś poemat, lecz miał pilniejsze rzeczy do zrobienia. Na przykład czekać na hołd od Włodzimierza Czarzastego.

Zaćwierkał telefon. Zandberg zadrżał w obawie, że skrzynka mu się zapcha esemesami z gratulacjami: setki znajomych i nieznajomych wysyłały wyrazy radości z sukcesu wyborczego w Krakowie, gdzie kandydatka Owca pokonała kandydatkę Gosek-Popiołek. To tak jakby on, Zandberg, pokonał na punkty Czarzastego.

Spojrzał na wyświetlacz, żeby nie przegapić wiadomości, która mogłaby się okazać ważna. „No to co? Jesteśmy na fali!!!" – pisała działaczka z Pomorza, krasząc esemes dziesiątkami całusów i uśmiechniętych buziek.

„Jasne, świetnie, powodzenia" – odpisał współprzewodniczący, przez moment zastanawiając się nad wstawieniem emotki. W końcu zdecydował się na rękę z pulsującym bicepsem.

Dla porządku przejrzał ostatnie wiadomości, lecz wśród nich nie było wieści od Czarzastego.

– Napisze jeszcze koza do woza – głośno do siebie powiedział Zandberg i znów zaczął pogwizdywać. Tym razem był to utwór Bada Bunny'ego.

Wyobrażał sobie tego esemesa. Czarzasty napisze: „Musimy się pilnie spotkać. Wskaż dogodne dla Ciebie czas i miejsce". „Ciebie" koniecznie dużą literą.

Zandberg potrzyma go trochę w niepewności, lecz w końcu odpisze niezobowiązująco: „Dam znać". A potem przez kilka dni nie da znać. Zareaguje dopiero na kolejną wiadomość.

Będzie zwlekał z określeniem terminu spotkania. Zgodzi się, odwoła, zgodzi się, odwoła, zgodzi się. Spotka się. Posłucha, co Czarzasty ma do powiedzenia. Obieca, że przemyśli to i się odezwie, jednak się nie odezwie. Poczeka na niecierpliwe ponaglenia, interwencje znajomych, naciski nieznajomych.

„Nie sądzę, żebym w wiadomej sprawie miał ci coś do powiedzenia" – napisze Zandberg na WhatsAppie. „Ci" małą literą…

Znów odezwał się telefon. Pewnie wreszcie Czarzasty, pomyślał współprzewodniczący Razem. Ale nie. Był to esemes od posła Macieja Koniecznego: „Mogę powiedzieć w telewizji, że po przyszłorocznych wyborach nie wykluczamy udziału w żadnej koalicji?".

„Możesz, ale ostrożnie" – odpisał po dwóch minutach.

Ciekawe, jak na taką deklarację zareaguje Czarzasty? – zadał sobie w myślach pytanie.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA obchodzi rocznice: dwie bolesne i jedną radosną. **JOANNA SENYSZYN** współczuje, ale nie uczestniczy.

Wołk-Łaniewska: – Święty Urban, patron października.

Senyszyn: – Naprawdę?

– Naprawdę to dzień św. Urbana przypada w maju, a jest on patronem winiarzy, winnej latorośli i dobrych urodzajów…

– Bardzo miły patron.

– Prawda? Ale to nie nasz Urban.

– To co jest w październiku?

– Trzeciego – czwarta rocznica śmierci Jurka. Trzecia Gośki, która umarła równo rok później.

– To te bolesne. A radosna?

– Nasze urodziny. 4 października 1990 r. wyszedł pierwszy numer tygodnika „NIE". Więc ten weekend budzi w nas mieszane emocje. Jesteśmy Urbanom bardzo wdzięczni za to, że założyli gazetę, acz fakt, że tak się wymeldowali z tego świata jedno po drugim, uważamy za zwykłe świństwo.

– Umrzeć – tego się nie robi kotu, żeby zacytować noblistkę?

– Dokładnie. A tym bardziej dwóm tuzinom dwunogich kotów. A tymczasem oni byli i byli, a potem zniknęli i uporczywie ich nie ma. Jak Daniszewska się zawinęła, to przez sześć tygodni pisałam dialogi z duchem, co pewnie by ją bardzo ubawiło, bo zawsze darła ze mnie łacha, że nie radzę sobie z myślą o umieraniu…

– No pamiętam, że pisałaś z duchem, aż w końcu Daniszewska ci się przyśniła i kazała ci przestać ją eksploatować.

– I wtedy weszłaś ty, cała na biało… A tak na marginesie – bo już dawno miałam to wyjaśnić: „Dialogi dam, z których obie żyją" oznacza, że obie nie jesteśmy umarłe. A nie, że żyjemy z wierszówki za te dialogi…

– A ktoś miał wątpliwości?

– A wyobraź sobie, że kilka osób mnie o to zapytało.

– Optymiści. Zmieniając temat: widziałaś już „Lalkę"?

– Którą?

– Kinową.

– A to nie.

– To znaczy netflixową widziałaś?

– Też nie.

– To co się pytasz którą?

– A bo ich różnie nie widziałam. Neflixową zaczęłam oglądać i po kwadransie wyłączyłam. I nie mam zamiaru powtarzać tego nieudanego eksperymentu. Za to kinową planuję obejrzeć, choć mam pewne obawy, czy nie powtarza błędu serialu z 1977 r.

– A jakiż to był błąd?

– Castingowy. Kadry decydują o wszystkim, jak wiadomo. Ten melodramat był dla mnie zupełnie niezrozumiały. Dlaczego Kamas – którego zawsze uważałam za bardzo przystojnego mężczyznę – uganiał się jak głupi za szpetną Braunek, a ona jeszcze go waliła w rogi z Romanem Wilhelmim? Toż to nie miało żadnego sensu.

– Rozumiem, że wersja z filmu Hasa, w której Dmochowski się kochał w Tyszkiewicz, a ona romansowała z Łapickim, wydawała ci się znacznie bardziej przekonująca?

– Ależ oczywiście. W sprawie filmu Kawalskiego mam niejakie wątpliwości, albowiem Dorociński jest bodaj najprzystojniejszym polskim aktorem tego – czyli mojego – pokolenia, a to dziewczę jakoś dupy nie urywa. Ale dam im szansę, bo jestem niezmiernie ciekawa tego, jak współczesna kultura przedstawi tę relację, która jest jednakowoż produktem swoich czasów. W epoce MeToo może być postrzegana zupełnie inaczej.

– Zamożny mężczyzna w średnim wieku ugania się obsesyjnie za kobietą młodszą od niego o 20 lat?

– Niejako bazując swoje prawo do tej obsesji na swoim majątku i jej potrzebach finansowych. Kiedyś przeczytałam opowieść jakiejś polonistki, która pracowała w szkole 30 lat i obserwowała reakcje uczennic. Dawniejsze mówiły: „Biedny Wokulski, okrutna Izabela". A teraz mówią: „To jakiś stalker, powinna go zgłosić".

– Mnie książkowa Izabela wydawała się nie tyle okrutna, co głupia, z tą swoją słabością do niewiele – by nie powiedzieć: nic – niewartych facetów, byle dobrze urodzonych. A Wokulski mi się podobał. O serialu nie mogę nic powiedzieć, bo nie oglądałam, i ciągle słyszę, że nie warto.

– Też odniosłam takie wrażenie.

– Ostatnio Hanka Bakuła nie zostawiła na nim suchej nitki i to nie ze względu na brak szacunku do literackiego pierwowzoru, ale z powodu kostiumów Łęckiej – jak mówi, beznadziejnie uszytych. Przy okazji wspomniała, jaką wspaniałą suknię miała Beata Tyszkiewicz. Materiał był sprowadzony z Paryża, a że sporo zostało, obili nim też meble. Tyszkiewicz wchodzi kręcić jakąś scenę i dosłownie wtapia się w kanapę.

– Piękny moment. Dziś by powiedzieli: sztuczna inteligencja, bo nikt by nie wpadł na to, że to mogło się wydarzyć w realu. Zmieniając temat: wybory w Krakowie.

– Wszystko wskazuje na to, że Gibała wygra.

– To źle?

– Z punktu widzenia Koalicji Obywatelskiej nawet bardzo źle. To będzie jej trzecia prestiżowa porażka: po klęsce Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich i odwołaniu Miszalskiego. Niby różnica między Gibałą i Piątkowską nie jest taka duża – 6,5 punktu procentowego – ale KO nie ma skąd wziąć elektoratu na dogrywkę. Wyniki obu lewic były fatalne, do kupy dostały niespełna 12 proc., a wyborcy Drewnickiego z PiS i Klimka od Brauna raczej nie zagłosują na kandydatkę Donalda Tuska…

– Jest nawet gorzej. W exit poll OGB pytała klientów, co zrobią w drugiej turze. Na Gibałę zagłosuje 49 proc. wyborców Owcy z Razem. Oraz – uwaga – 65 proc. wyborców Gosek-Popiołek od Czarzastego.

– Specjalnie się na tym Gibała nie pożywi: 65 proc. z niepełna 5 proc. daje koło trzech. Ale sygnał jest wyraźny. Wyborcy lewicy nie są takimi entuzjastami Koalicji 15 Października jak jej przywódcy.

– Może nie srali w polu jak marszałek Czarzasty przed wejściem do UE i dlatego nie doceniają donośnej wagi europejskości premiera Tuska…

– A co ma do tego Czarzasty i jego defekacja?

– Nie słyszałaś?

– Staram się nie słuchać Czarzastego.

– Otóż pan marszałek na spotkaniu z ludnością Będzina ogłosił, że za komuny na granicy czesko-austriackiej „srał w polu, bo nie było po prostu kibli" i w związku z tym, „jak słyszy, że Unia Europejska jest złem, to mu się rzygać chce".

– Strasznie dużo o swoim wydalaniu Czarzasty ma do powiedzenia. Szkoda, że o niczym innym.

– Wracam do Gibały. Otóż jego potencjalne zwycięstwo mnie szczerze raduje.

– A czemuż to? To nie jest Zohran Mamdani…

– Ty tego i tak nie zrozumiesz…

– Bardzo uprzejma jesteś. A czemuż to nie zrozumiem?

– A bo jesteś z Gdyni. A ja pielęgnuję czule tradycyjną animozję między Warszawą i Krakowem. To, kto zostanie prezydentem Krakowa, jest mi najdoskonalej obojętne, więc nie martwię się bynajmniej potencjalną jakością jego rządów i tym, do jakiego stopnia wyrósł z dziecięcej choroby neoliberalizmu, która nękała go 20 lat temu. Ważne, że ten irytujący babsztyl w żółtej peruce poniesie zasłużoną porażkę.

– Rozumiem, że nie przepadasz za senatorką Piątkowską?

– Jaką trzeba być idiotką, żeby plan kandydowania na prezydenta Krakowa ogłosić w Warszawie u boku premiera z Gdańska, a potem na każdym kroku podkreślać, jakie się ma znakomite chody w stolicy? Nawet mnie to zirytowało, z całą moją krakusofobią.

– Masz rację, że nie rozumiem waszych lokalnych animozji. A poza tym, będąc europosłanką z Krakowa, przekonałam się, że wcale nie jest on tak konserwatywny, jak go malują. Poznałam tam awangardowych malarzy, performerów, poetów, aktorów, piosenkarzy. Do dziś z wieloma utrzymuję serdeczne kontakty.

– A rzeczywiście, Krakusy jednak zrobiły coś mądrego w polityce: wybrały ciebie do europarlamentu i Ankę Grodzką do sejmu.

– No widzisz. W Krakowie jest mnóstwo ciekawych, postępowych ludzi. I mają poczucie humoru. Bardzo im się spodobało, na przykład, moje marzenie, żeby zrobić z Krakowa drugi Watykan. Bo papieskie miasto-państwo zajmuje w Rzymie 44 hektary, a Kościół katolicki w Krakowie – ponad 1000 hektarów, więc wystarczy odebrać 960.

– Piękna idea. Szkoda, że cię wybrali na europosłankę, nie na prezydencicę.

senyszyn@wp.pl,
wolklaniewska@wp.pl





Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 8821106aca